TYDZIEŃ

polityczny, naukowy, literacki i artystyczny.

REDAKTOR

JÓZ. IGN. KRASZEWSKI.

Wychodzi co Niedziela numer arkuszowy. — **Rękopisma**, oprócz wyjątkowych razów, nie zwracają się. — **Ogłoszenia** wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą **1** sgr. od wiersza petitowego trzy-szpaltowego. — **Redakcja** w Dreznie.

Prenumerata trwa do końca pierwszego kwartału; przyjmuje się u Wydawcy w Dreznie, we wszystkich znaczniejszych księgarniach polskich w kraju i za granicą i w Urzędach Pocztowych. — W Niemczech północnych z przesyłką (oprócz stępla) wynosi ćwierćrocznie **1 talar.**

№ 26. Drezno, dnia 25. Czerwca 1871. **Rok II.**

Z wiarą i spokojem ducha rozpoczynaliśmy wydawnictwo „Tygodnia,“ z ufnością niezachwianą w lepszą przyszłość i tym samym ducha pokojem zamykamy je dzisiaj. — Wszystko co nas dotknęło i dotyka, z ręki losu i z dłoni ludzi, od obcych i swoich, uważamy za próbę konieczną, za potrzebne i opatrzne losów zrządzenie, które wychowuje w bólach, w upokorzeniu i walce przyszłe pokolenia. — Nigdy od r. 1772 losy Polski nie były tak bezlitośnie twarde, tak cynicznie nękające, jak dzisiaj.

W czasie pierwszego rozbioru bezsilna Europa protestowała cała przeciwko krzywdzie wyrządzonej narodowi. Każdy ruch nieszczęśliwy ku odzyskaniu niepodległości, wywoływał współczucie, budził oburzenie na gwałcicieli prawa narodów w imie praw siły. — Po roku 1831 Niemcy w tryumfie przyjmowały zwyciężonych, stawiano im łuki i obsypywano wieńcami, gościnnie witano po świecie całym, dobrowolnych wygnańców. Sprawa Polski uważaną była za sprawę swobody ludów, wszystkie szlachetniejsze umysły ujmowały się za nią. Protestowały parlamenta, śpiewali poeci, mówcy budzili pamięć Polski, jako ofiary o pomstę wołającej.

Tak było jeszcze w Niemczech, Francji i Anglji po roku 1831, ale tak już dziś nie jest nigdzie.

Dziś dożyliśmy tych dni, gdy imie nasze jest w pogardzie, gdy człowiek niema przytułku, idea jest wyśmianą, gdy miłość ojczyzny winą a tułactwo grzechem, doszliśmy do tego o czém nieprzyjaciele nawet nie marzyli nasi. Gdyby wstali z mogił ojcowie a spojrzeli po ziemi i na nas — nie wierzyliby oczom swoim.

Straszniejsza nad wszystko: w krajach polskich, między braćmi, jesteśmy banitami. . . .

Najniżej upadłe narody, — szydzą z nas, a bratnie Czechy plwając na nędzę naszą, kupują podłemi napaściami łaskę wszechmocnej północy. . . . Dla jednych myśmy rewolucioniści i komuniści, dla drugich feodały i reakcja, — w Paryżu dość się było nazwać Polakiem, aby być rozstrzelanym — Niemcy austrjaccy zwą nas narodem zacofańców. — Słowem dziś małym sercom i umysłom słabym. . . . Maciejowickie Kościuszki słowo czas rzec przystało. . . . Nigdy nie było gorzej — lecz nigdy w kipiącym żarze, w łaźni ognistszej nie krzepił się duch narodowy.

Ucisk i sponiewieranie dochodzą do kresu . . . *sursum corda!* — czoła do góry! bądźmy godni tego zaszczytu, jaki nam losy dają — prześladowania i boleści. — Nie każdy dostojen jest nosić taką koronę ciernia i — taką włócznię w piersi!

Sto lat wysiłków daremnych doprowadziły nas do tego kraju przepaści — ważą się losy — albo odżyjem lub zginiemy . . . a sprawiedliwość Boża chce, byśmy odżyli . . . bo jest sprawiedliwość i jest Bóg!

Mieliśmy winy, ale je łzy i krew obmyły — umiejmy się odrodzić i wstać a żyć!

Sto razy to powtarzano i powtórzyć należy — cnoty nam potrzeba — a wzniosłego i spokojnego ducha, któryby nad poziom powszednich klęsk nas podniósł. . . . Wyrzec się spisków i rewolucji, a z wiarą głęboką jąć się wszelkiej pracy, ale z jawném hasłem — dla Polski. Nie wskrzeszać jej w szałach konwulsyjnych, ale budować poświęceniem i gromadzeniem wszelkiej siły, aby ona zaważyła na szali i uszanowanie wzbudziła.

Dziś jeszcze stan przejścia trwa i rozerwani jesteśmy i niegodni odrodzenia — ale z tego zamętu i anarchji, Bóg da, wyłoni się ład i jedność — i nasienie lepszej przyszłości.

Idea Polski wśród starcia żywiołów krańcowych, ostatecznych — pomiędzy rewolucją socjalną a reakcją i obskurantyzmem z łaski Bożej, rzeczywiście przedstawia ten termin pośredni, w którym jest prawda . . . i dla tego idea Polski przyszłość ma w sobie.

Nie przedstawia się ta idea całkiem urzeczywistnioną w dziejach naszych, ale w nich jako nieustanny postulat, jako cel, jaśnieje. . . . Zapomnieli o tém dziejopisarze narodowi, iż w walce z rzeczywistością inne godło stoi na chorągwi narodu górą nad nim, inne na sztandarach kroczących po ziemi. — Weźmy ustawy polskie, weźmy całe Polski życie, a przekonamy się, że ono całe miało za cel zadanie, pogodzić wolność z ładem.

Aniśmy winni, że w owych wiekach i okolicznościach nie dopięliśmy celu, widny on oczom historyka, choć dla chronistów i pełzających po ziemi kompilatorów zakryty.

Czém są dzieje Polski? — tylko tym bojem o zdobycie miary swobody, o przejednanie władzy z władanémi, o wolność złotą ze złotym ładem. . . . Chorowaliśmy na ideał i z tej chorobyśmy umarli, ale z tej śmierci zmartwychwstaniemy.

Po wielu latach, po wieku ofiar i próżnych rozbijań się piersiami o piersi — Europa dziś szuka tego, cośmy my wcześnie mieli na sercu i oku. Godło narodu dziś staje się godłem ludzkości. — Zabici, odżywamy już w tych zapasach ideą. —

Nie dziw też, że przodując w tej walce od wieków, dziś znajdujemy się w obu obozach Europy. . . . taki Dąbrowski w komunie, a ks. Kalinka nawołujący do ekskomuniki zasad 1789 roku, — jedni z Ligą pokoju i Internationale, drudzy z Jezuitami, absolutyzmem i reakcją. Tak być musiało — bo prawo historyczne chciało tego . . . . . bo taka jest logika faktów.

Rokoszan i regalistów mamy do dziś dnia, jakeśmy ich mieli za Zygmunta III., a mimo to, idea i tradycja Polski cała ani z témi jest ani z drugiémi, ale w pośrodku.

Dla tego może kraj nasz, tam gdzie mu daną jest większa swoboda ruchu i myśli — gwałtownie się rozłamuje, dzieli, występuje do walki i pracuje ofiarnie nad opanowaniem pożądanego środka — prawdy. — Ani za klęskę w obec przyszłości, tę ciężką i utrapioną walkę poczytywać należy —

boć ona jest płodną, trzeba tylko byśmy ją dla prędszego jej końca wieść umieli.

Gdzie a w czém dziś tętni główna arteria życia?

Wolno mniemać co się podoba, bije ona w dziennikarstwie... ono jest formą pracy wieku, pozornie mało znaczącą i lichą a w istocie potężną. — Gdy dawniej w bitwach i pochodach, w parlamentach i sejmach, — w kongresach i ustawodawstwach życie się przysposabiało, — dziś ono w żarnach dzienników na karmiącą mąkę z surowych ziarn się przerabia....

Dla tego miarą działalności każdego narodu, jego dojrzenia, sił, zasobów — pojęć, jest dziennikarstwo. Wprzódy, niżeliśmy widzieli ruinę Francji, można ją było przeczuć z lekkomyślności, czczości, przedajności, nieuctwa a dowcipkowania trefnego jej dzienników, które pod kwiatami przepaść kryło.... Inny jest zaprawdę charakter angielskiej prassy, inny niemieckiej, a nie bez wagi i znaczenia jest dzisiejsza rosyjska. — My też cośbyśmy ze stanu własnego dziennikarstwa o sobie powiedzieć mogli....

Ono nam powie najlepiej jak stojemy w chwili obecnej i czego nam braknie. — Zapiszmy tu nie w nadziei, aby uwagi nasze wpłynąć mogły na zmianę, lecz jako historyczną datę, stan prassy krajowej.

Zubożeni materjalnie i duchowo, ofiarami znękani, — na polu tém widziemy najlepsze chęci a jak najuboższe zasoby siły, talentu i pracy. — Stronnictwo zachowawcze, które najlepiej jest zorganizowaném i najmożniejszém, występuje tu razem, jeźli nie jakby mogło, to stosunkowo z większém obrachowaniem i zasobami. — Z drugiej strony obóz postępowy w nieładzie, w braku organizacji, idzie ruchawką bez porozumienia a nadewszystko bez głębszego zbadania obowiązków dziennikarstwa.

Tu jednej barwy i dążności dzienniki, zamiast się wspomagać wzajem i spojną tworzyć falangę — idą samopas zajęte sprawą drobną swej ekzystencji materjalnej.

Dość powiedzieć, iż takie organa prowincjonalne współzawodniczące, boją się wspominać nawet swych współtowarzyszów, ażeby im nie dopomódz a sobie nie zaszkodzić.

Dość przypomnieć, iż w żadnym dzienniku sprawozdania z treści innych nie znajdziesz, a każdy się oddziela, osamotnia, ignoruje, aby siebie uczynił jedynym.... Żaden też dziennik zbiorowego życia narodu nie daje pełnego obrazu. — Współpracownicy na chybił trafił wycinają tu i owdzie wiadomostki, anegdotkę, żaden nie ma tak rozdzielonej porządnie pracy, aby ona dokonaną była wyczerpująco i metodycznie. Najważniejsze kwestje jeśli wystąpiły na jaw w organie współzawodniczym, mijają się milczeniem lub wzmianką przygłuszającą. — Drobniutkie rachuby i ogromne lenistwo ciążą na prassie.

Ani dziw, że czytelnicy nie tak się nią zajmują, jakby wymagać można... pokarm to stęchły, niedostateczny, popleśniały i nieczysty. Dziennikarstwo zamiast się posługiwać wyborem sił intelligencji, — ogranicza się tą, która gdzieindziej miejsca i roboty nie znalazła. — Czyni się to pośpiesznie, bez starania o formę, która w dzienniku ma wagę niezmierną, niedbale, nierówno.... Większa część stoi zaledwie o swej sile, ogląda się, aby nie stracić abonentów, aby ich nie zrazić — zamiast wyrabiać opinię ulega jej — słowem — jest to łatanina biedna, najlepszej chęci — a najsłabszego skutku. Mnożą się codzień organa, zakładają nowe dzienniki i i ezsilne zamierają. — Nie będziemy za przykład stawiać po imieniu nikogo, mniej więcej wszyscy tu w jednym szeregu. Każda prowincja i ognisko znaczniejsze życia chce mieć swego przedstawiciela, a nieumiejąc się zdobyć na takiego, którýby ją w istocie w poważny sposób mógł przedstawiać, zbiera się chociaż na mały arkusik, który ją więcej kosztuje niż wart. Ztąd mnóstwo dzienników a brak dziennika. Ani też łatwo, gdzie kilkuset ledwie abonentów, postawić coś zasługującego na to imie. Surrogaty to są nie pożywienie prawdziwe.

Z tego stanu dziennikarstwa płynie zła wiele na społeczność, która do żywotnych zadań nie czuje się powoływaną, gdy jest nieudolnie. — Widziemy to wszyscy... ubolewamy nad tém, poradzić nie umiemy.

Dziennikarstwo, jakiem jest, popsuło język, nieraz zmąciło pojęcia, zniżyło ogólny stopień oświaty, niebędąc w swych pracownikach dostatecznie wykształconém; na ostatek dawało i daje nieraz powodować się namiętności, osobistości, chęci popisu ze złośliwością i dowcipem — zamiast zasad popierając interessa i ludzi. — Taki jest smutny stan w biednym kraju nader biednego dziennikarstwa; ani on innym być może, póki ludzie jednych przekonań, jednych zasad nie porozumieją się, nie naradzą, nie zastanowią nad polepszeniem bytu i środkami ku temu prowadzącemi.

Niemieckie dziennikarstwo ma swe dzienikarskie sejmy (Journalistentag), czemużbyśmy my też choć raz w imie wspólnych interessów zjechać się i rozmówić nie mieli? — Lecz jestli to możliwe, gdzie osobiste waśnie i sympatje tak wielką odegrywają rolę?

Myśl tę rzucamy, — niech ją inni podniosą!

Sprawę tę uważając za żywotną w chwili obecnej, poświęciliśmy jej kartę z życzeniem, aby doprowadziła do czynu.... Zamiast się dźwigać i rosnąć, jeźli prassa nasza coraz wątleć będzie i powszedniejszą się stawać a bardziej zaniedbaną — na kraju się to odbije.... Wróci on, jak już powoli wraca do obcych gazet, niemieckich, francuzkich, angielskich, a dzienniki nasze zejdą do przedpokojów. — Zło, zdaniem naszem, jest już dziś tak wielkie, iż pilno ratować się potrzeba.

Odbieramy z Krakowa smutną a niespodziewaną wiadomość o nagłym zgonie d. 15. Czerwca wieczorem, prof. Dr. Gilewskiego, który zmarł w 38 roku życia na tyfus skórny. Był on profesorem patologji i terapji szczegółowej, oraz dziekanem wydziału lekarskiego, na Uniwersytecie jagiellońskim, członkiem wielu towarzystw naukowych, znakomitym profesorem, a co największa, człowiekiem serca i poświęcenia.

Kraj pisze z tego powodu: „Uniwersytet jagielloński traci w nim jedną z najdzielniejszych sił, miasto jednego z najzacniejszych obywateli, oraz bardzo wziętego lekarza. Ciało zabalsamowane przeniesione zostanie jutro do Wiednia, do grobów familji Szuh, gdyż zmarły ożeniony był z córką słynnego niemieckiego prof. Szuha.

Straż ogniowa mianowała zmarłego, właśnie wczora, swoim członkiem honorowym, wystąpi więc *in corpore*, wraz z całą młodzieżą i inteligencją krakowską, dla towarzyszenia żałobnemu karduktowi o godzinie 6. wieczorem. „Dziś dodaje „Kraj,“ o godzinie 12. w laboratorium patologiczném słuchacze medycyny Wszechnicy tutejszej, odbyli naradę w sprawie pogrzebu prof. Gilewskiego. — Uchwalono: 1mo aby straż honorowa, złożona z sześciu słuchaczów medycyny w stroju żałobnym, nie odstępowała zwłok nieboszczyka profesora od rana, do wieczora, aż do wywiezienia tychże z Krakowa, 2do aby wysłać deputacją z grona medyków, która by się udała do Oed w niższej Austrji (majętności zmarłego) i tamże brała udział w obchodzie pogrzebowym. — Nakoniec uchwalono, aby wszyscy słuchacze medycyny wszechnicy krakowskiej, na znak żałoby przez dni osiem nosili czarną krepę na kapeluszach. — Na gmachu kliniki powiewa czarna chorągiew.“

Stronnictwo ultramontańskie starało się zużytkować zaraz tę bolesną stratę, na korzyść swoją, słabym umysłom i fanatykom ukazując ją jako wyraźną karę Bożą przeciwko temu, który się ważył adres do Döllingera wotować!!

Wywołało z łatwością trwogę i poruszenie w umysłach — a może się i tém pochwalić, że w pewien sposób i do zgonu tego się przyczyniło. Dr. Gilewski z natury był drażliwym, już z usposobienia i temperamentu, już skutkiem nieustannych zaczepek, jakie go ze wszech stron spotykały. Najwięcej go dotknął artykuł dziennika „Unia,“ który rozprawiając o adresie do Döllingera, nie wahał się rzucić nań potwarz brudną, drukując iż Dr. Gilewski wraz z teściem swoim żyjącym w Wiedniu, a mającym tam wpływ znaczny, intrygował przeciwko Dietlowi, profesorowi kliniki, aby się na jego miejsce dostać. — Dobra to próbka polemiki pobożnych tych pism, które nie walczą o zasady, ale plamią ludzi i rzucają oszczerstwa. — Potwarz ta do żywego oburzyła Dr. Gi-

lewskiego. — oświadczył że chętnie by przebaczył osobistą swą krzywdę, ale nie może darować naruszenia sławy zmarłego teścia, zacnego człowieka i postanowił process wytoczyć „Unji“ o obelgę. — Artykuł ten w istocie nie godzien był dziennika, który dotąd postępował z pewną godnością i dobrą wiarą. — W takiem usposobieniu drażliwem, nieboszczyk zaraził się tyfusem od biednej ubogiej kobiety, do której nikt inny przystąpić nie chciał, z obawy niebezpieczeństwa — Dr. Gilewski, pomny swych powinności, długie godziny spędzał u łóżka chorej. — Padł ofiarą poświęcenia, żołnierzem na placu boju, i pięknej tej śmierci, którą Bóg tylko poczciwy żywot nadgradza, — pozazdrościć mu można. Dla fanatyków jest ona palcem Bożym i karą, w oczach naszych uwieńczeniem i nagrodą życia.

Dr. Gilewski zasłużył na tę śmierć piękną, — dobroczynnym był po chrześciańsku, nie czyniąc sobie z tego chluby. — Stale utrzymywał zawsze jednego z młodzieży uczącej się medycyny, przez wszystkie lata studiów, kosztem swoim. Odziewał go, płacił za stół i mieszkanie, opatrywał wszystkie potrzeby, a po skończeniu nauk ponosił koszta doktoryzacji. Jednego doprowadziwszy do dyplomu, natychmiast zajmował się drugim. — Towarzystwo naukowe krakowskie, zawdzięcza mu znaczne i obfite pomoce, które hojną dawał dłonią.

Cześć więc niech będzie pamięci człowieka pracy i poświęcenia. Młodzież uniwersytecka godnie postąpiła sobie oddając należny hołd zasłudze i charakterowi.

W chwili gdyśmy do druku to pośmiertne wspomnienie oddawać mieli, doszła nas korespondencja z Krakowa, z której następne jeszcze wyjmujemy szczegóły. — „Wieczorem d. 15. Czerwca w czasie processji Mariackiej, rozeszła się szybko nader smutna wiadomomość po mieście, że właśnie przed chwilą skonał Dr. Karol Gilewski. Publiczność dnia tego zebrana tłumnie na narodową uroczystość Konika Zwierzynieckiego, miała sposobność zaraz się pierwszém podzielić wrażeniem... właściwie do swych przekonań... Ultramontanie nie taili radości ze śmierci szanownego dziekana — ogół bolał nad stratą człowieka, którego teraz miał sposobność lepiej poznać, gdyż cnoty zmarłego po jego zgonie dopiero na jaw wystąpiły.

Na drugi dzień przypadła uroczystość jubileuszowa dwudziestopięciolecia papieztwa Ojca św. Piusa IX., która się objawiła wieczorem przez iluminacją, dość powszechną choć nie zbyt świetną. Kilka kościołów ubranych było w lampy i transparenta. Oświecali wszyscy przez cześć dla osoby starca głowy kościoła; drudzy z samej obawy aby gawiedź kleparska okien nie tłukła...

Na trzeci dzień, d. 17. Czerwca tłumy ludu zwiedzały zwłoki Dr. Gilewskiego złożone na katafalku, około których sześciu akademików stało, ciągle się zmieniając, dla uczczenia zmarłego. Było kilka rzewnych epizodów przy zwłokach, gdyż osoby które Dr. Gilewskiemu wdzięczność były winne, żegnały go z płaczem i łkaniem, a tłum przez fanatyków podburzony, przychodził patrzeć na heretyka, za którego duszę modlić się zabroniono. Po mieście krążyły najrozmaitsze wieści z ust do ust podawane a zmarłego się tyczące, które rosły i przeistaczały się powtarzaniem... Dowiedziano się teraz dopiero ile profesor czynił dla młodzieży akademickiej, ile dla ubogich zawsze z warunkiem, aby o tém milczano. — Opowiadano jak raz w wigilją Bożego Narodzenia, zebrał ubogich druciarzy, zaprosił do siebie na wieczerzę, nakarmił, ugościł i opatrywił, dając po guldenie i zakazując im o tém wspominać.

Na godzinę szóstą zapowiedziany był pochód ze zwłokami z domu, w którym mieszkał nieboszczyk, w Rynku, w Krzysztoforach do dworca kolei, gdyż ciało zabalsamowane, w dwóch trumnach metalowych zamknięte, wywiezione być miało do grobów familijnych. Niezliczone tłumy ludu zaległy rynek i drogę, którą miał kondukt postępować, liczono ich kilkadziesiąt tysięcy. — Wszystkie warstwy i stany krakowskiej społeczności znajdowały się tu, w większej części w żałobie dla uczczenia zmarłego... z wyjątkiem ultramontanów... Mogliśmy się więc obliczyć jak krzykliwa kupka owa jest niewielką, choć wpływy i majątkiem znaczącą... Z niej tu przecie nie było nikogo, oprócz urzędowych sprawozdawców, którzy sobie i swym panom żółci napsuć mieli. — Wszystko co się składało na uświetnienie pochodu, pochodziło z serca, z uczucia, z przekonania. nic nie było płatnego oprócz karawanu, który szedł próżny dla formy, gdyż zwłoki na marach nieśli akademicy. Każdego przejmowała i wzruszała majestatyczność tego pogrzebu, jakiego Kraków nie widział od dawna. — Duchowieństwo — naturalnie obawiając się mniej okazać gorliwém od przewódzców ultramontańskich, odmówiło uczestniczenia w pogrzebie i oddania zmarłemu posługi jaka mu należała od Kościoła do którego się liczył. Adres do Döllingera nie odjął mu przecie prawa do modlitwy i obrzędu. Odmówiono nawet katafalku dla zwłok i z Wawelu dopiero duchowny wojskowy użyczył sprzętów rządowych, używanych dla armji. Nadesłał też zawiadomienie pastor ewangelicki, że użyczy z kościoła swego, co będzie potrzeba, ale już z tej ofiary nie korzystano.

Krzyż osłoniony krepą, sprawili medycy umyślnie na ten pogrzeb... bo go katolickie duchowieństwo dać nie chciało.

Mówią, że w końcu ks. biskup Gałecki zezwolił na udział duchowieństwa w pogrzebie, pod jakiemiś warunkami, ale to przyszło za późno. Mówią też o pewnej pani pobożnej, (której nazwisko nawet wymienić obiecują w gazetach) iż przed skonem Dr. Gilewskiego przyszła do jego żony oświadczając jej, że nie powinna mieć nadziei ażeby mąż wyzdrowiał, bo się wiele dusz pobożnych, gorąco modliło do Boga, ażeby go śmiercią skarał. — Ponieważ od niedawna w Krakowie polskie pułki zajęły leże, wszystkie ich muzyki oświadczyły się bezpłatnie towarzyszyć pogrzebowi, i z tych jedną wybrano. Pochód przy odgłosie muzyki szedł w następującym porządku otoczony tysiącami ludu... Naprzód straż ochotnicza ogniowa w pełnych mundurach, za nią muzyka, następnie pedele ze czterma berłami wszystkich wydziałów Uniwersytetu jagiellońskiego, rektor uniwersytetu i kilku z rady miasta Krakowa, nieśli końce całunu okrywającego trumnę. Dr. Korczyński prymarjusz szpitalu św. Łazarza, na poduszce niósł dyplom doktorski zmarłego i łańcuch dziekański... W koło otaczali mary doktorowie przepasani krepą z pochodniami w rękach. — Medyk niósł krzyż, sztandary cechów krakowskich delegaci stowarzyszeń. Kirem okrytą trumnę, całą w wieńce przyozdobioną na przemiany nieśli akademicy, a za nią w togach zamykali pedele pochód ze staremi berły i całe postępowało grono profesorów Uniwersytetu z wyjątkiem księży z wydziału teologicznego. Dalej szedł sztab wojskowy lekarski w galowych mundurach, i starszyzna wojskowa z licznym zastępem oficerów... Szeregi strażaków i mnoga publiczność. — Piękna pogoda sprzyjała pochodowi, który powoli krocząc w przeszło godzinie czasu doszedł do dworca kolei i wagonu, który miał wieść zwłoki dziekana... Towarzystwo muzyki „Muza“ odśpiewało tu chóry żałobne... poczém Dr. J. Majer przemówił od serca do zgromadzonych, podnosząc zasługi i zdolności Dr. Gilewskiego, jako lekarza, profesora i człowieka... uwydatniając tę szczególniej cnotę zmarłego, którą trafnie scharakteryzował...

„Różnił się tém od wielu, rzekł Dr. Majer, iż tail co czynił dobrego, a głosił jawnie przekonania, za które mógł cierpieć... które drudzy kryją, niemając odwagi cywilnej głośnego ich wyznania.“

Pogrzeb ten wielkie niezaprzeczenie wywołał wrażenie i zostawił po sobie niezatartą pamięć czcigodnego człowieka, a dozwolił się obliczyć szczupłej garści ultramontanów, która, jak widziemy, więcej w Krakowie wrzawy czyni niżeli ma istotnej siły.

Nie uszło uwagi dwuznaczne postępowanie pewnych osobistości, szczególniéj jednej z najwydatniejszych w Krakowie, która nie dawno odmówiła podpisu na adres do Ojca św. — aby nie zrywać z przeciwnikami tej manifestacji, a teraz nie ukazała się na pogrzebie, aby pozyskać sobie ultramontanów.

Zmarły prof. Gilewski zostawił żonę i dwoje młodych dziatek. Medycy postanowili nieodżałowanej pamięci profesorowi, wystawić pomnik w obrębie ogrodu klinicznego.“

Mieścim tu korespondencją tę, której szczegóły dobrze malują stan umysłów i usposobienie ludności Krakowa.

Ignacy Laskowski.

(Wspomnienie pośmiertne.)

Po raz wtóry w krótkim bardzo czasie spada na mnie w obec ziomków w kraju i za granicą smutny obowiązek: posłannika śmierci.

Szczupłe gronko naszych oddało d. 4. b. m. po południu ostatnią posługę ś. p. Ignacemu Laskowskiemu.

Daleko za miastem, na „Filarecie,“ mały zakątek na przestrzeni kilkunastu morgów jałowego pola, opasanego murem — to nasza cmentarna kolonia. Zwolna na pozór, zbyt gęsto jednakże w oczach naszych zaludniają ją znużeni na obcej ziemi wędrowcy polscy, jak: Wojciecki (Józef), Łoga, Smoleński, Domański, Malczewski i, i; — tam też usypaliśmy świeży przybytek dla ś. p. Ignacego.

Urodzony d. 22. Marca r. 1833 we wsi Gorszczyna, województwa i powiatu Mińskiego, z ojca Wincentego i matki Anny z Jankowskich; ś. p. Ignacy wzięty do szkoły kadetów a następnie do szkoły artyleryjskiej w Petersburgu, przepędził całą swą młodość w wojsku moskiewskiem; odbył w niem kampanię r. 1854/5, w której dosłużył się stopnia kapitana artylerji (*chef d'escadron*). Na tym stopniu i udekorowanego orderami św. Stanisława i św. Anny i kilkoma medalami, zastał go rok 1863 profesorem wyż pomienionej szkoły artyleryjskiej.

Na pierwsze wezwanie Rządu Narodowego, z tyloma innymi, pośpieszył i Ignacy Laskowski w organizujące się szeregi powstańcze na Litwie. Mianowany pułkownikiem wojsk polskich, był kolejno naczelnikiem sztabu ś. p. Zygmunta Sierakowskiego i księdza Maćkiewicza, następnie główno dowodzącym siłami zbrojnémi województwa Kowieńskiego i Augustowskiego, i jako taki brał osobisty udział we wszystkich niemal krwawo-rozgłośnych potyczkach, jakiemi bohaterskie powstanie Litwy tak chlubnie się odznaczyło. — Z pola walki zszedł Ignacy Laskowski jako jeden z ostatnich, bo dopiero d. 10. Sierpnia 1864 r.

Pierwsze chwile emigracji przepędził w Szwajcarji i w Paryżu; w roku zaś 1865 przybył do Rumunji, gdzie zdolnościami, pracą i nieposzlakowanym swym charakterem zdobył sobie prawdziwy szacunek nie tylko u swoich, ale i u krajowców.

Matematyka była najulubieńszem jego zajęciem, lecz i inne gałęzie nauk technicznych nie były mu obce, — i one to zapewniły mu tu w końcu zupełnie dostateczne utrzymanie. —

Od lat dwóch zapadał coraz silniej na zdrowiu; — do cierpień piersiowych przyłączyła się pewna melancholia; — począł stronić od świata, unikać dawnych najlepszych swych przyjaciół i znajomych, i dziwaczyć w dobrowolném osamotnieniu.

Zatrwożeni takim stanem, sprowadziliśmy tu w Listopadzie r. z. z Belgji Stanisława, młodszego brata jego i oddaliśmy mu Ignacego pod opiekę. — Nie bez trudności i podstępu udało się nakłonić go nareszcie do podróży do Brukselli, gdzie jednakże bawiąc przez krótki czas, nie chciał się leczyć, a w końcu bez wiedzy brata opuścił Belgię i w Kwietniu b. r. powrócił do Rumunji.

Nie było już żadnej nadziei uratowania go.

Dopiero w ostatnich dniach Maja pozwolił się zawieść i ulokować w szpitalu Brankowana, — by się poddać strasznemu a nieodzownemu już wyrokowi: „za późno“ — i rzeczywiście cud chyba mógł go tylko powrócić ojczyźnie, dla której w życiu swojem wszystko poświęcił, — a cudu nie stwarza, niestety! ni najumiejętniejsza pomoc lekarska, ni najtroskliwsza opieka przyjaźni, uosobione w tym razie w Drze Glucku i Napoleonie Popławskim.

Bóg powołał go do siebie, — my zaś towarzysze ś. p. Ignacego oddajemy pamięć jego w opiekę Polski.

Bukareszt, w Czerwcu 1871 r.

Władysław Dunin.

Korrespondencye.

Rzym, 16. Czerwca.

W dzień jubileuszu papiezkiego.

Na sprawy tak powszechnej doniosłości, jak sprawa doczesnej władzy Stolicy Apostolskiej, nie można się zapatrywać li tylko z osobistego stanowiska, miarkować naszego poglądu na nie, podług interesów jednego kraju, bądź polskich, bądź włoskich, albowiem obchodzą one świat cały. Atoli, jeśli względy osobiste wolno nam dorzucać do europejskich i wszechświatowych, to wypadnie mi stanowczo wyrzec, iż Stolicy Świętej, urodzonej uciśnionych narodów zastępczyni i obronicielki, nic tak nie krępowało w sprawie polskiej jak doczesna władza. Miałem stokrotnie sposobność przekonania się o tém dowodnie, niemal dotykalnie. Ten kawałek ziemi, będący niby rękojmią administracyjnej niezawiłości Papieża był łańcuchem z żelazną kulą przykutym do jego niepodległości politycznej, równie jak do jego boskiego posłannictwa na ziemi. Jeżeli Pius IX. nie przystał na potępienie narodowych uczuć duchowieństwa polskiego, (które dziś ks. Ledóchowski potępia), jak o to usilnie kołatała Moskwa; jeśli nie chciał zakazać pieśni Boże coś Polskę i Z dymem pożarów, jak tego się domagał duchowny polski umyślnie z Warszawy przysłany, a z którym miałem ciekawą po spotkaniu się na papiezkich pokojach rozprawę; jeżeli własną ręką wbrew kardynałowi Antonellemu i dziesięciu innym wtrącił kilka tkliwych słów za wojującą Polską do *invito sacro* kardynała Patrizego, nakazującego krótki jubileusz nie za sprawę walczących i umierających za wiarę i wolność Polaków, jak się podówczas z wyższych potrzeb i względów do Czasu pisało, lecz jedynie z powodu zdychającego na kampanji rzymskiej bydła i dzieła pana Renan;* jeśli wreszcie z taką godnością i apostolskiém męztwem wypędził barona Meyendorfa ze swego gabinetu i zerwał dyplomatyczne stosunki z Moskwą: — stało się to jedynie przeto, iż urząd boski wziął w nim wówczas górę nad urzędem ziemskim, krępującym go zewsząd, iż Papież zapomniał, że jest królem i umiał się przez chwilę wyzwolić i otrząść z ziemskiej polityki kardynała Antonellego, której jako monarcha był niewolniczo uległym. Jeżeli zaś owszem współczucie Piusa IX. dla Polski, odzywające się częstokroć tam i sam w rozmowach we cztery oczy, nie wykroczyło nigdy urzędownie po za obręb owego dwuznacznie dla obcych brzmiącego przypisku do *invito sacro;* jeżeli w żadnej allokucji, w żadnej encyklice nie wystąpił stanowczo w obronie zdeptanej w sprawie narodu polskiego sprawiedliwości i prawa, lecz ograniczał się zawsze na bronieniu praw religijnych katolików Królestwa Polskiego i Cesarstwa Rosyjskiego; jeżeli próżnemi i bezowocnemi się okazały owe niezrównane, cudowne i do rzewnego płaczu pobudzajęce listy, które biskupi polscy podczas ostatniego powstania na ręce Rządu Narodowego i na moje do Ojca Świętego pisali, zaklinając go na Ukrzyżowanego Boga, by podjął sprawę uciemiężonego narodu, by się zmiłował nad królestwem Jagiellonów i Sobieskiego, by głos apostolski w sprawie polskiej zabrał, by się wstawił za walczącym narodem do cesarzy austryackiego i francuzkiego i do innych mocarzy i rządów tego świata; jeżeli słynna depesza księcia Gorczakowa rzuciła najniekorzystniejsze światło na rozmowy obsypanego orderami moskiewskiemi kardynała Antonellego z p. Kisielewem i z p. Meyendorfem: jeżeli za Grzegorza XVI. żandarmi papiezcy aresztowali w kawiarniach obywateli rzymskich, mówiących przeciwko Dybiczowi Zabałkańskiemu, a za Piusa IX. ciż żandarmi odstawiali do granicy p. Wołyńskiego, niemającego rządu, któryby się nim opiekował; jeżeli nakoniec w bieżącym roku dyplomacja watykańska chciała koniecznie, by jeden z najzacniejzzych i najświętobliwszych biskupów katolickiego świata wyżebrał jej przez swoje stosunki pomoc i sojusz u moskiewskiego cara: — przypisywać zaiste to wszystko należy dualizmowi stworzonemu przez ową nieszczęsną władzę świecką, która

---

* Potrzeba było bądź co bądź utrzymać i wzmocnić sojusz Polski ze Stolicą Świętą: więc w ówczesnych listach do Czasu przezemnie pisanych, usiłowałem osłaniać i pokrywać niedostatki, ujemną stronę obrazu rzymskiego wobec narodu, kładąc owszem zbyteczny często i przesadny może, niestety! nacisk na wspólczucie i przychylne usposobienie Ojca św. i Dworu rzymskiego dla Polski. Rehabilitacją swą, w oczach narodu naszego po Encyklice Grzegorza, Dwór rzymski listom tym w części zawdzięczał. I znaleźli się ludzie bezwstydni, twierdzący jak „Opryszek katolicki“ i jak ks. Piotr Semeneńko w sławnej polemice, gdzie na barona Arnima sprawki ks. Ledóchowskiego i p. Koźmiana składał, iż ja pracowałem nad poróżnieniem Polaków ze Stolicą Świętą!... (Przypis. autora).

dwór rzymski ciągnęła w lewą, kiedy Ewanielja kazała mu iść w prawą. My, którzyśmy widzieli jak dyplomacja zagraniczna tutaj burmistrzowała, jak dwór rzymski musiał wiecznie lawirować między jej sprzecznemi pretensjami, ratując się jedynie giętkością i częściową przynajmniej uległością dla wszystkich, wiemy czego się trzymać w przedmiocie niezawisłości, jaką niby władza doczesna zapewniała. Kiedy z wyższego polecenia przedstawiałem kardynałowi Antonellemu niezbędność, by Ojciec Święty w sprawie polskiej wyraźniejszą przybrał postawę odpowiadał mi wciąż: — Nie możemy tego uczynić przez wzgląd dla mocarstw, które Polskę rozebrały, stosunki nasze dyplomatyczne niepozwalają nam tego. Kiedym zaś przytaczał przykłady Klemensów XIII. i XIV., odrzekł mi: Podstawą prawa europejskiego jest traktat z 1815 r.; ten jedynie traktat może nam służyć za punkt wyjścia, inne uległy przedawnieniu. — Ależ, zawołałem, czyliż w sprawie polskiej niema nieprzedawnionej dla Kościoła kwestji sprawiedliwości, nieprzedawnionej zbrodni rozbioru?..... — Niemożemy narażać stanowiska naszego dyplomatycznego; jest ono, sucho powtórzył kardynał, ściśle określone traktatami z 1815. Możemy jedynie się upominać o swobody religijne, zabezpieczone Polakom temiż traktatami. To co za 1815 leży, do nas wcale nie należy. — Dwór rzymski wierny został tym zasadom, a wielka Ofiara, dopóki istniała doczesna władza, napróżno byłaby wyglądała, aż jej sprawa w Rzymie dźwignie się z poziomu wiedeńskich traktatów na wysokość wyciągnionych ramion Chrystusowego krzyża.

Francja napoleońska, śmiertelna Polski nieprzyjaciółka pod kłamliwemi pozory, złowrogi wciąż wywierała wpływ na sprawę naszą w Rzymie, przeszkadzając potajemnie wszelkiemu śmielszemu wystąpieniu Papieża za nami. Bardzo ciekawe rzeczy słyszałem w tym względzie. Nie wzbudziły wszakże one we mnie zdumienia, jakiém mię świeżo przejęły arcy-urzędowe dowody, iż cały plan powstania polskiego wyjawiony został rządowi moskiewskiemu przez Napoleona III. za pośrednictwem Prus. Część tajemnic rządu narodowego i powstania dochodziła do wiadomości Moskwy tą samą drogą. Plan powstania zakomunikowany został prefektowi policji francuzkiej — dla Moskwy — przez jednego z naszych rodaków, którego nikt nigdy nie podejrzywał i niepodejrzywa dotąd o tak okropną zdradę. Niech nędznik ten wie jednak, iż zbrodnia jego i nazwisko, dotychczas grobową otoczone tajemnicą, bo żaden Polak ich nie odgadł, nie ujdą słusznego napiętnowania w historji, tak jak on sam nie ujdzie kary Boskiej na tym świecie czy na tamtym. Ale wracam do założenia.

Papież jako Namiestnik Chrystusowy, jako najwyższa w ludzkości osoba, ulegać nie może pospolitym prawom ani być poddanym żadnego monarchy. Stanowisko niepodległe, najwyższe, królewskie przystoi mu ze wszech miar. Zkądinąd jednak monarsza władza jest jak najzupełniejszém przeciwstawieniem urzędu Najwyższego Pasterza. Pojmowało się onę jeszcze, póki siła materjalna była jedyną tarczą prawa, najwyższa moc jedyną rękojmią przeciwko gwałtom, kiedy każdy niemal biskup rzeszy niemieckiej był udzielnym księciem, mającym mennicę własną i prawo życia i śmierci względem poddanych. Warunki Europy, równie jak wyobrażenia tłumów zmieniły się odtąd. Nawet krwawe takie i szalone dziwolągi jak komuna paryzka dowodzą, iż abstrakcyjne pojęcia, iż pociąg do pytań, sięgających samego jestestwa społecznego ustroju, walcząc z ciemnotą i zwierzęcemi chuciami, przenikają do najniższych warstw ludności. Same takie wybryki świadczą o niezmordowanej pogoni ducha ludzkiego za rozstrzygnieniem żywotnych kwestji, za rozwiązaniem wielkich zagadek, świadczą, iż pospolite *criterium*, powszechny probierz moralny, słowem zmysł dobra i zła, opinja publiczna wyrabia się, doskonali. Podnoszący się zwolna wraz z równią ogólnego oświecenia i wiedzy instynkt mas coraz bardziej protestuje przeciwko Papieżowi-Królowi, absolutnemu politycznemu władzcy, samodzierżcy katolickiemu, trzymającemu krzyż i miecz razem, otoczonemu żandarmami, cenzurą, policją tajną, sądami bez jawności, ministrami nieodpowiedzialnymi, wojskiem, oprawcami. Władza papiezka, zwłaszcza od kiedy Papież został ogłoszony osobiście i oddzielnie od episkopatu nieomylnym, to ma do siebie, iż nie cierpi żadnych ograniczeń, iż dąży fatalnie do absolutyzmu. Rząd reprezentacyjny, konstytucja, zdawałaby się zawsze pętami narzuconemi nieomylnemu Naczelnikowi Kościoła, ujmą jego najwyższej powagi, i narażone by zawsze były na niefortunny koniec reform z 1847 cofniętych pod wymówką rewolucji. Papież mógłby je każdej chwili odwołać, zburzyć cały gmach konstytucyjny *ex informata conscientia*, a ci, którzyby zarzucali mu niekonstytucyjność i pogwałcenie swobód zostaliby wyklęci. Konstytucyjny rząd papiezki stał się już niepodobieństwem po *Syllabusie* i Watykańskim Soborze. Kształt zaś, pod jakim ostatniemi czasy istniał, nie tylko że wpada w moralne sprzeczności, jakie wyżej ukazałem, ale nadto niechybnie i fatalnie prowadzi do najstraszniejszych nadużyć. Jak we wszystkich despotycznych rządach najwyższa władza *summa rerum*, przechodzi nieodbicie z rąk Papieża w ręce kardynała sekretarza stanu i kamarylli. Tworzy się w około Ojca Świętego grono faryzeuszów bez czci ni wiary, spekulujących na wszystkiém i bezwstydnie wyzyskujących władzę, Papieża samego, religijne uczucia katolickiego świata. Duchowne zawody otwarte są dla czysto świeckich i ziemskich ambicji; purpura kardynalska staje się nagrodą nie świętobliwości, nauki cnoty i zasług położonych Kościołowi, ale sprawowania cywilnych, ba nawet wojskowych urzędów państwa: najgorszy rządzca prowincji, najnikczemniejszy minister spraw wewnętrznych, policji lub wojny, uzyskuje prawo do kardynalskiej promocji. Gubernator Rzymu jest urodzonym kandydatem do kardynalstwa, a delegat po wyssaniu kilku prowincji kolejno, z łaski Ojca Świętego, wchodzi do św. kolegium dla uniknienia kryminalnego procesu. Pomijam już niewłaściwość ciągłej tej mieszaniny i krzyżowania się duchownego zawodu ze świeckim, do jakich doczesna władza papieży, osobliwie po Watyńskim Soborze, koniecznie i nieodwołalnie już prowadzi; pomijam nienawiść, jaką ściąga na suknię duchowną piastowanie (i w jaki sposób!) politycznych urzędów. Namiestnik Chrystusowy, podpisujący wyroki śmierci politycznych przestępców i nakazujący jednocześnie modły o ich religijne opamiętanie się przed straceniem, jest czémś potwornem. Cóż powiedzić o tym najwyższym sądzie kryminalnym konsulty świętej z samych prałatów, niemal wszystkich mszalnych księży złożonym, który sądził zaocznie i pokryjomu, jak wenecka rada dziesięciu aż do 20. Września, i który przez powolność dla kardynała Antonellego i kwoli jego prywatnym zemstom skazywał na śmierć przed umotywowaniem wyroku śmierci? Aby dawny członek rzymskiego dworu, dawny szambelan Jego Świętobliwości, odważył się pisać w Rzymie to, co piszę, i podpisywać się jak to czynię, musi wiedzieć z pewnością o tém, co twierdzi, i przenosić miłość prawdy i wiary świętej nad wszystkie względy dla ludzi; z którymi był tak długo w stosunkach i zażyłości.

Gdy do tylu bolesnych przeciwieństw, co już w XIII wieku napełniały takiem oburzeniem wielką natchnioną duszę Dantego, dodamy niepodobieństwa wynikające dla doczesnej władzy z wyrocznego i opatrznego dążenia Włoch do politycznej jedności, gdy przytem zważym z jednej strony rownież niepodobieństwo, by papież był poddanym innego monarchy i ulegał powszechnemu prawu, z drugiej zaś niebezpieczeństwo, by politycznie rządził, — jako jedynie możliwa kombinacja pośrednia przedstawiają się nam rękojmie ofiarowane jego świątobliwości przez rząd włoski. Nie jestem wcale obrońcą nowych systemów ani ślepym wielbicielem włoskiego rządu, którego tysiącznych błędów nie pochwalam. Na jego miejscu będąc nie przenosiłbym może stolicy do Rzymu, gdyby wszakże to przeniesienie od rządu a nie od narodu i od opinji publicznej zależało. Jednakowoż rękojmie dla Ojca świętego zdają mi się dostatecznemi i zadawalającemi dla wszystkich katolików. Czas dowiedzie ich praktyczności lub też wyświeci niepraktyczność i niezdarność. Nie wiem doprawdy czemby je zastąpić można; więc inna doskonalsza i odpowiedniejsza kombinacja da się wynaleźć z czasem; może nawet kiedyś, gdy Syllabus będzie tylko złowrogą zmorą minionego snu dziejowego jak inkwizycja i pytki, gdy wiara i wolność pogodzą się w Rzymie jak godziły się przez wieki w Polsce, a w Kościele Bożym nie będzie już ani jezuitów ani zmartwychwstańców, może wówczas ludy skutkiem samej wiary wracającej do serc i na widok Kościoła na swych pierwotnych demokratycznych i republikańskich zasadach znów opartego, wzniosą dobrowolnie na nowo namiestnikowi Chrystusowemu nie groźny już dla swobody tron, jak to ongi uczyniły, gdy się miasta i gminy włoskie garnęły pod opiekę biskupa rzymskiego a Cezarowie ustępowali, by mu nie przeszkadzać we wiecznym grodzie. Atoli na zawsze potrzeba wykluczyć z tych nadziei, jako płód chorej fantazji, przywrócenie doczesnej władzy za pomocą siły i oręża i odbudowanie jej pod absolutną formą, pod jaką dzięki Bogu runęła dnia 20. Września 1870 r.

Obecne więzienie Ojca świętego jest szczerą przenośnią, współczesnym mytem. Nikt papieża więzić nie myślał i nie myśli. Wprawdzie on sam w jednym ze swoich przemówień przyznał, iż jego więzienie jest czysto moralném; ale i prawdziwość moralnego więzienia ostać się nie zdoła w obec rzeczywistości. Pius IX. patrzy na Włochy, na Rzym i na wszystko co się w Rzymie dzieje przez czarne szkło swojego otoczenia i najprzesadniejszych i najfałszywszych raportów, jakie ustawicznie odbiera. Jeżeli Kościół jest dziś w żałobie to dla tego chyba, że mu się podobało przywdziać wdowie szaty po zgo-

nie doczesnej władzy. Żadne niebezpieczeństwo, ani Ojcu świętemu, ani kardynałom, ani żadnemu duchownemu w Rzymie nie grozi. Ultramontańskie dzienniki wznoszą babilońskie wieże i wiszące Semiramidy ogrody na nieznaczących całkiem pojedynczych wypadkach, jakie się tam i ʃam wydarzały a były nieuniknionemi w takiem rozdrażnieniu umysłów, w takim antagonizmie, jak stronnictwo ultramontańskie we Włoszech i Europie całej stworzyło między papieztwem a narodowemi Włoch dążnościami. Jedno słowo przebaczenia, zgody, miłości, zatarłoby te niedołężne wyskoki, jakich w wolnym kraju, gdzie nie panuje stan oblężenia, gdzie każdy może opinję własną wyrażać, gdzie żandarm nie stoi z batem i kajdanami na straży publicznej opinji, uprzedzać zawsze i przewidywać niepodobna przy największej energji rządu. Stolica święta nie nawykła jeszcze do wolności i jak człek wychodzący z długoletniego zamknięcia na świeże powietrze czuje się jakoby upojoną i mniema, że powietrzem tém oddychać nie będzie mogła, albowiem nie ma już w koło następcy Rybitwy galilejskiego cenzury, żandarmów, wojska, sądów tajnych świeckich i duchownych, straszliwego *brachium saeculare* wciąż posiłkującego władzę duchowną. Usposobienie to zmieni się z czasem. Da się powoli uczuć potrzeba nie zmuszania, ale przekonywania, nie tłumienia, ale rozprawiania, nie cenzury, ale wiedzy, nie grozy, ale miłości. Będzie mniej szpiegów, donosicieli, zbirów, wielkorządzców, a więcej apostołów. Potrzeba koniecznie, aby katolicki Kościół w najwyższym swoim wyrazie, w Stolicy apostolskiej, przeszedł przez wielką szkołę, przez ożywną próbę wolności. Żaden kraj, powiedzmy śmiało, z wyjątkiem może Anglji, takiej dziś nie posiada w Europie wolności jak Włochy. Ojciec święty jeśli chce może jej w pełni używać, może się jak najbezpieczniej przejeżdżać po ulicach Rzymu, gdzie oprócz własnych straży miałby zawsze na swe zawołanie oddział stugwardzistów królewskich, gdzie najlepszą zresztą byłoby mu strażą uszanowanie i i uwielbienie ludności. Gdyby Pius IX. pogardził chytremi i podstępnemi namowy, gdyby się tylko chciał wychylić za progi Watykanu, zamiast obelg i złorzeczeństw, zamiast zamachów świętokradzkich i zbrodniczych, słyszałby tylko błogosławieństwa, a uczucie narodowe sowicie mu się odpłacając za przychylność, wybuchnęłoby takim ku niemu zapałem, takiemi okrzyki i oklaski, takiemi demonstracjami, iżby przeszły nawet owacje z 1847 i 48, jedyne niekłamane i zdumiewające, jakich bywał rzeczywiście przedmiotem. Książąt zaś Kościoła występujących w purpurze i z zewnętrznemi godności swej orszakami to jedynie mogłoby spotkać, iżby im wszędzie po drodze wojskowe honory oddawano jak książętom krwi.

17. Czerwca.

P. — S. Najlepszym dowodem zupełnej wolności papieża i Stolicy świętej jest niniejszy jubileusz Ojca świętego. Krajowi goście i zagraniczne deputacje ciągną od rana do wieczora długiemi szeregi do Watykanu, a nikt ich objawom i demonstracjom nie przeszkadza, chociaż demonstracje te, — nie zapominajmy o tém,—są niestety! bardziej ultramontańskie niż katolickie, chociaż mają nie tak na celu życzenia *ad multos annos* Najwyższemu Pasterzowi jak protestacje na korzyść zdetronizowanego króla przeciwko narodowej Włoch jedności, chociaż większa część adresów składanych Ojcu świętemu jest ciągłem mistycznem, zawziętem, hańbiącem Włoch policzkowaniem. Włosi, Rzymianie, mogą słusznie w tych różnojęzycznych nie tak katolikach jak ultramontanach upatrywać nieprzejednanych wrogów swej narodowości, jedności, ojczyzny; a jednak Rzymianie, Włosi, dawali przez te dni i dają dzisiaj zdumiewające dowody umiarkowania, skromności, wstrzemięźliwości, taktu politycznego. Jest coś niewymownie szczytnego, niemal tkliwego, w tym jednomyślnym duchowym nastroju, w tem zgodnem postanowieniu narodu, który chce inne narody przekonać, że jest wolnym, ba najwolniejszym może dzisiaj, że jest godnym wolności. Wracam właśnie z wielkiego nabożeństwa u św. Piotra, gdzie były tysiące ludu, gdzie największy porządek panował, gdzie brakowało tylko Ojca świętego i kardynałów, którzy tam nie byli nie dla tego, iż nie mogli, ale dla tego, iż nie chcieli. „Osservatore romano“ szumnie ogłasza spis członków polskiej deputacji, która ma być najcharakterystyczniejszą ze wszystkich europejskich, zapowiada dwa adresa, — jeden poznański okryty 250000 podpisów, — drugi galicyjski, który ich ma liczyć 260000; wylicza między doręczycielami onych Lubomirskich, Sułkowskich, Radziwiłłów, Czartoryskich, Potockich, Popielów, Morawskich, Skórzewskich, Żółtowskich, Żychlińskich, Chłapowskich, Koczorowskich. Cieszyć się nam zaiste należy z ruchu katolickiego, tak głęboko w narodzie rozbudzonego, jeśli wszelako adresa te, — których dotąd nie znamy — są rzeczywiście wynurzeniem uczuć wrodzonych sercom polskim ku Stolicy apostolskiej, a nie próżném miotaniem bezowocnych protestów i obelg na wolny bratni naród, żadnych nam sympatji zjednać nie mogącemi krzykami przeciwko opatrznemu faktowi upadku doczesnej władzy papieży. Jakkolwiek bądź ufać należy, iż misja przedstawicieli polskiego narodu nie będzie jednostronną, iż panowie Radziwiłł, Czartoryjski, Sułkowski, Żółtowscy, Morawski, Lubomirski, Koczorowski, Potocki i inni, wróciwszy, jako naoczni a sumienni świadkowie potrafią i zechcą narodowi powiedzieć, iż Ojciec święty i Kościół w Rzymie jak najzupełniejszej używają swobody, że żadne im niebezpieczeństwo ze strony Włoch nie grozi, i że naród, którego wyższość polegała przez wieki na ścisłem jednoczeniu wiary z wolnością, który jedyny między wszystkiemi europejskiemi ludy był konnym strażnikiem i nieśmiertelnym chorążym obojga, nie powinien złorzeczyć innemu narodowi, który ten staropolski sojusz wśród tysiąca okropnych trudności usiłuje zaprowadzić u siebie!

Władysław Kulczycki.

Sprostowanie. W N. 24. „Tygodnia“, str. 198, łam 1., raczcie czytać nieucy zamiast Niemcy. Zmienia to bowiem całkowicie znaczenie okresu i zawiera nie będącą nigdy w mojej intencji obelgę dla niemieckiego narodu.

Przechadzki po Europie.

(List z Sycylji.)

(W pełném morzu.)

III.

Kwiecień, 1871.

(Dokończenie.)

Wprawdzie to raczej Jehowa niż Emanuel! Ten sam Zbawiciel tak wytworny w kopule św. Marka, acz podług kartonu Tyciana wykonany ręką mistrzowską, nie działa z taką pra-potęgą — czemu? — bo znać w nim uśmiechnięty kwiat renesansu, bo odbiegł od tradycji pierwotnej, której niema wewnątrz, mimo tak świetnej zewnętrzności. Od tej kopuły rozchodzą się na litych tłach tysiące figur starego i nowego testamentu, w grupach poważnych i ruchomych, popiersie św. Jana duże wyszczególnia się nad jedną chrzcielnicą tymże wyrazem, tym mozaikom tylko właściwym, i ikonom Łukaszowej tradycji, i tu śledzić u źródła, jak ten duch grecki jeszcze w grubej „zdziecinniałej“ formie panującej światu, wylęga pod kokoszemi skrzydły swego ciepła takie dusze jak Cimabue, jak potém zrodził się Giotto i Giottino i całe ich pokolenie przez Fra-Angelica, Massacia, Francję — idące aż do Rafała i Buonarottego, jak w Rawennie, gdzie legł Dante, działa na jego poezją. — Kościół ten jest modlitwą kamienną, cześć i uniesienie ducha najpotężniej budzącą. — Krzyk kamieni w tej ciszy olbrzymiej zdaje się wołać z grozą swych czasów: biada światu! i koniec jego wróżyć. A działa raczej postrachem niż miłością, odstrachem złego niż zachętą dobrego, nie ten to słodki i miłościwy Jezus z katakumb Rzymskich, z jagnięciem u ramion, nie ten Fra-Angelica Pan miłościwy, gładzący niezgładzone. — — Główny jednak cel mój to zabytki greckie i Sycylji.

Koleją żelazną opuszczam Palermo — wtedy dopiero można objąć cały wdzięk niewypowiedziany tej wyspy, gdy pociąg wąwozami zielonoœci wić się zaczyna po nad morzem, przepadając w lasach i tunelach, z których wylatuje ciągle, by nowe piękności odsłonić oku; im dalej się zagłębia w kraj, tém kraj piękniejszy, a rzut oka na niknące skały Palermo nie do opisania! Kłosy już pełne i schylone kołyszą się polami, wąsate jęczmiona i wysokie żyta, klasyczne oliwy gonią w niebo, a choć początek Kwietnia, na niebie sady oblepione pszczołobrzękim kwiatem, a łąki i gaje potrząśnięte dużemi koralami poziomek — ta droga przypomniała mi wyspę Corfu, królowę wysp całego świata, której nie dostoi Sycylija, tak jak jej oliwom szeroko-ramiennym, w kulisty konar nieustannie inaczej krajobraz ujmującym, nie dotrzyma oliwka Sykulska. — W parę godzin kolej ustaje, zastąpiona fatalną pocztą, dla bezpieczeństwa eskortowaną przez półtora żołnierza o zbojeckiej minie i czuprynie, który z gorliwości swej służby pieszym wędrowcom nie broni stawać na stopniach karety, i tak sobie całémi milami ułatwiać drogę, aż dokąd ich droga nie zejdzie od gościńca. Na to odpowiadają zdziwionym podróżnym, tonem naszych włościan: taka wże ustanowa — — podobnie

rezonuje krowa, gdy wlezie do pszenicy. Dyliżans ten piekielny, jest parodją hiszpańskiego, podobnie pędzi z góry a pod górę, a wlecze się płaszczyzną, tylko że ostatnie mają tuzin mułów i trzech pocztylionów popędzających wymienianiem ich nazwisk lub miotaniem kamieni z kozła, kiedy z skóry sycylijskich biednych szkap mogących śmierci Roetla służyć za wierzchowca, pocztylioni zdają się już nosić gotowe bóty.

Zawsze obecnym pozostanie mi obraz jaki ujrzałem obudziwszy się w powozie do świtu. Natura o zieloności bezbrzeżnej, spiętrzonej szaloną wegetacją pól i lasów, zorza różowa krwawiąca się blado nad morzem, otulonem tumanem mgieł srebrnych — wszędzie barwa natury majowa, uśmiechnięta, o kolorycie o jakim nie śniła cała szkoła Wenecka, a nawet mistrz Bonifacio! a na skale urastającej hardą opoką wśród bujności rażącej aż oczy, pnącemi się po niej palmami i pinnusami włoskiemi, festonami wina, leży w ładnym nieładzie mieścina Girgenti, nadająca sobie ni ztąd ni z owąd ton jakiegoś starego metropolu, tak złocą się w szafirach nieba jej domy z granitu o kolorze korkowym wzniesione, z tegoż granitu co świątynie greckie w Paestum i całej Sycylji. —

Na szczęście miałem dobrych i miłych towarzyszy, pocieszających samotnego turystę i opiekujących się gościnnie, uprzejmych do przesady, że nie mogę tu przepomnieć imion waszych, zacni Enoch Ferrugia, Carlo Morso, Ferdinando la Marca, Grillo Antonino i gubernatora Girgenti, entyzyasty muzycznego, któremu zawdzięczam dokładne zwiedzenie ruin. Dzień minął na spoczynku i zwiedzeniu miasta. Katedry główny przymiot wielka akustyczność, choć nie tak rozkoszna i zdumiewająca jak w baptysterium Pizańskiem i bawarskiej Walhalli — jest tamże jeden Guido nieco apokryficzny?... za to po za miastem, gdzie samotną odprawiłem wędrówkę, prześlicznie rozłożone wzgórza, na jednem z nich stoi zamknięty od dawna kościół Karmelitański o wspaniałych schodach, jak klawisze dygocących a z po pod nich widne w ciemnych lukach szkielety dobrodziejów i fundatorów śpiących spokojnie — z góry widok na morze i grupy ruin na trzech pagórkach.

Dni tych było zjawisko rzadko postrzegane, chmury z niebios zniżyły się tak mocno, że srebrnémi runami pokładły się na morzu, które tylko gdzieniegdzie wyglądało jak błękitna oaza. Tuż obok studnia kamienna, ślicznie zbudowana z maurytańska, przy której gwar dziewcząt sprzeciwiał się szczebiotliwemu ptastwu w gałęziach chórem się kołyszącemu, jedne czerpały wodę i niosły na ramionach i głowach w dużych dzbanach glinianych, urnom starym podobnych, inne prały, inne schodziły po wodę, piękną jest taka postać przypominająca Rebekę, z dzbanem na kruczych włosach splecionych bujnym warkoczem, o ramionach zakasanych, szacie barwnej haftowanej, kwiatkiem we włosach, confuoco w oku podobném do węgla niechcącego dogorzeć, o dużych kulczykach, a wolnym chodzie i wyniosłej postaci, gdy idzie w góry ku studni, z piosnką cichą, w złotej kurzawie zachodzącego słońca.... Od studni jechał na osiołku chłopczyna niezmiernie malowniczy, w neapolitańskiej płonącej czapeczce, a po bokach dwa olbrzymie snopy raczej wiązki koniczyny, rozkwitłej malinowo, wlokły się aż po ziemi — po chwili odwrócił się tak, że tylko jego plecy, tył osła i te dwie kwitnące wiązki w wolnym ruchu stanowiły gotowe studium dla akwarelisty. — Dalej nadjechał podróżny z waszecia, jakiś nobille, czy intelligent przygód świadomy.

Podróżuje się głównie konno i zbrojno — dla bezpieczeństwa i myśliwskich rozrywek, samotrzeć lub samoczwór. Taki podróżny zwykle na dzielnym koniu, strzelba przez ramiona lub wszerz na siodle przed nim leżąca, kapelusz i płaszcz kalabryjski z gustem rzucony, para pistoletów i sakwa u siodła. — Dziwnie i po średniowiecznemu uwydatniała się ta postać konna, jak ją daje zwykle Wuwerman, lub Lisowczyk Rembrandta, i tak zapewne jeździć musiał swego czasu syt przygód Cellini. — Zwolna jeździec i koń znikli mi w złotej kurzawie. — Zstąpiłem nieco w dół, napotkałem cały las kaktusów tak rozmiłowanych w słońcu i rozpędzonych w błękit gorący, żem się dziwił ich gwałtownym kształtom, nad niemi, dziwna! gerlanda śnieżnych motyli drzała na tle szafirowém się unosząc.

Drżące motyle, niewysłowionego wdzięku, niemogąc na kolcach kaktusów przysiąść ani chwili, unosiły się w powietrzu nad niemi, podobne poetom naszego wieku, unoszącym się nad kaktusowém społeczeństwem, niech będą mniej motylkowaci a zamiast kaktusów znajdą kwiat społeczeństwa, jeźli zdołają je przetworzyć dziełami swemi. Ich wina. Niech nie karmią ostrygami z brudnych kanałów społecznych, ani pianką beletrystyczną sentymentalnych kaprysów i koteryjnych mód, ale prawdą a pięknością, której fale jak fale morza zawsze nowe, choć wrzekomo te same.... Kaktusy te nie społeczne, tylko te, o których mówiłem wyżej, były przedmiotem kamienowania przez chłopczyków miejscowych, rzucali tak celnie, że za każdém miotnięciem przedziurawiony stał liść łopuszysty kolczastego Goliata.

O świcie stał powóz z dobrémi końmi, ruszyliśmy od Girgenti prześliczną, szeroką drogą w dół kręto wiodącą — morze i lasy italskich sosen, błękity nieba rozwieszone nad niemi... z godzinę szła droga, cudownie wiła się śród aloesów, kaktusów (fiche d'India), willów i sadów migdałowych a oliwnych, i drzewach o strączkach rożkowych, chlebem święto-jańskim zwanych, rozłożystych i wspaniałych. Wśród drogi pojawiają się już w ziemi fundamenta ruin zniszczonych zupełnie. Wreszcie wyjechawszy na wzgórze, ujrzałem nad morzem wzniesioną świątynię Concordia — o dwudziestu kilku kolumnach rytmicznie pięknych, dorycкich, po nad morzami uniesionych w lekkiej gazie srebrnego obłoczku, który zdawał się z sobą je unosić! Na przeciwległém wzgórzu świątynia Juno Lucina, jeszcze wspanialsza Jowisza Olimpijskiego (giove Olimpico) ostatnia, o czém niżej, najciekawsza. Wszystkie te świątynie czysto doryckiego stylu, zatém najlepszej epoki, zachowały pierwowzór Partenonu i należą do najwspanialszych zabytków greckiego budownictwa — Celle, belkowania, tryglif, metopy, runęły dawno, ale kolumny harmonią swoją świadczą o całości, którą łatwo odbudować. Przeważnie z żółtego ciosu, nieco bursztynowego w słońcu, a korkowej barwy w cieniu, cios ten czasem i słotą jak gąbka zdziurawiony, i to cała różnica między niemi a marmurowo-świeżym Partenonem. Jednak temu granitowi żółtemu mają te świątynie zawdzięczyć swe istnienie, bo nie łakomiły się nań wandale jak na marmur pantelikoński. Poniżej leżą obalone ściany katakomb, w których niszach stawiano urny z popiołami, dziś gniazda jaskółek i dzikich turkawek odzywających się w ciszy wieków. Świątynia Juno Lucina, równie dorycka, o przeszło dwudziestu kolumnach zachowanych stukiem pociągniętych, czella i komora ofiarna w części zachowana. W niej to mieścił się sławny obraz Zeuxisa na cześć Junony przesłany. Dalej świątynia Jowisza (Zeus Olimpikos) największa w Sycylji, olbrzymia, ale cała rozsypana w gruzach, potrzaskanych jak umyślnie. Ta świątynia zdaje się przez Pelazgów zaczęta, a później drugi raz wzniesiona i zniweczona strasznem trzęsieniem ziemi. Spodnie pokłady z brył kwadratowych wielkich, takimże sposobem jak gruzy Micenów spojone sekretem Pelazgów, w jednej pozostałej wydrążonej kolumnie człowiek mieszkać może, a o bajecznym rozmiarze świadczą dwie zgruchotane przy sobie upadłe kariatydy, niewątpliwie egipską tradycją świadczące, wielkość ich cztery razy dłuższa od kształtu człowieka, a wyraz surowego dłuta jak kolosy Etiopów o dziecinnym choć zbolałym wyrazie Heloty. Piętno to najoczewistsze cywilizacji egipskiej, przeniesionej w pierwotnych Grekach do Grecji. Kształty tych Atlantów w kilku miejscach pęknięte na olbrzymie odłamy. Brak reszty jest zagadkowy, wszelkie hipotezy uczonych nie zaspakajają, wyglądają te olbrzymy jakby zaczęte a nie dokończone do przyszłego gmachu, który runął, bo gdzieżby wreszcie znikły inne? czyż tak bez śladu niknie wszystko w czasie jak owe dwieście kolumn Jowisza w Atenach, które powlókł Sulla do Rzymu, tak że ich zostało jedynaście.

Świątynia Eskulapa tak zniszczona, że nic prawie o niej rzec nie można. Dalej trzy kolumny pięknie zachowane z świątyni Kastora i Polluksa, z belkowaniem ocalonem. Wreszcie czworobok regularny na czterech kolumnach jońskich wsparty, grobowcem Terona zwany, około r. 472 przed Chrystusem wzniesiony, mniej szczęśliwie przypomina wieżę wiatrów Ateńską i pomnik choreograficzny Lisikratesa, także Diogenową latarnią przezwany. Jest jeszcze kościół San Biaggio, przerobiony z starej świątyni Minerwy. Jakże długie a niezapomniane godziny przebyłem w świątyni Juno Lucina! Jak sokole gniazdo zawisła nad morzem, dziś niebo jest sklepieniem nad stérczącémi jej doryckiemi ramiony a w ciszy tej szemrają kwiaty i zioła na mchu wieków porosłe, jednostajny świst konika polnego tęsknie rozlega się w skwarze słonecznym i złote jaszczurki pełzną pełne humoru od głazu do głazu — to przybytek sztuki — religji — człowieka!!

Niżej szumi pełna fala morza gubiącego się w liniach dalekich, jak nieskończoność..... łagodnych jak melodja... śnieżny maszt sunie samotny, jak człowiek sam ciszą i burzą życia wędrujący.

Na jednej z zgruchotanych kolumn spoczywając, wspominałem Hellady Boskiej zabytki, tu epilogiem dośpiewane gruzy Partenonu i Erechteionu, Akrokoryntu, Eleusis, Scali Salony, Delfów, Nemei i Megary! szczyty Parnasu, Helikonu, Kyteronu, i Maratonu pola i Termopylów wąwozy... i wieki sunęły mi się przed okiem ducha — i ujście ich w nieskończoności a przed jej wroty olbrzymi znak zapytania, stróż u wrót prawdy i sprawiedliwości!... tymczasem towarzysz mój chodząc swobodnie po gruzach, niechcąc przerywać mej zadumy, a jednak przypomnieć życie i czas powrotu, zanucił cicho piosenkę Hiszpańską, którą

sobie zapisałem, echo niosło z dziwną ironią te wyrazy, pełne miłości, w przepaści czasu:

Jo t'amo Nina mia
Jo t'amo tanto
Que si tu fueras cielo
Jo fuero santo!...

T'amo mas que ma vida
T'amo mas que mis ojos,
I, si non fuera peccado
T'ameria mas qu'a Dios....

Przy odgłosie tej piosenki opuściłem ruiny i zszedłem do powozu, który mnie odwiózł do portu, gdzie już dymił parowiec. Kilku towarzyszy, którzy mi dowiedli, jakiego zapału Włoch jest zdolny w obec sztuki, mianowicie harmonji tonów, odwiodło mnie łódką na okręt. Żegnaliśmy się jeszcze, gdy statek ruszał, wiejąc ku sobie chustkami, zapewne na całe życie — łódka ich nikła jak punkt czarny — wreszcie w pianach przepadła — oby ich niosła mile i pomyślnie *usque ad finem*..... Czasami błogosławieństwo samotnego pielgrzyma co nic nie ma do stracenia, spełnia się na tych, za któremi posłane, jak garść ziarna rzucona na wiatry, co je niosą ku ziemi. Dzikiemi brzegi Sycylji, potém pełniejszém morzem, nocą i porankiem płynął statek ku Syrakuzie. Wyspa smutna i dzika, wdowia po dawnej chwale. Niegdyś potężna łącznia dwóch części świata, dziś podupadła szczyci się tylko ruiną! — co się ostało z zapasów z Kartaginą, Hamilkarem i Rzymiany, Goty i Arabami, to doniszczyło trzęsienie ziemi. Najwspanialszy z tych zabytków, to teatr w ruinie, jeszcze nad wszelkie oczekiwanie świetny i wspaniały. Sześćdziesiąt rzędów siedzeń mieściło 80,000 widzów, — największy to teatr świata starożytnego, siedzenia jego kute w skale lub murowane. — Coloseum rzymskie szczenięciem ssać by mogło jego biodra, naśladowanie jego czuć w rzymskich teatro Marcello i teatro Pompejo, ale na rzymski sposób. — Scena ku morzu zwrócona, widz zaś odwracając od niej oko, ma widok roztoczony na cudne wzgórza i doliny. Mammut to przeszłości, dziś kudłaty narościami zielonémi natury, co otula i wieńczy macierzyńsko zmarszczki jego czoła, pisane wiekami, a z tej sceny najwspanialszej widać jednego jeszcze aktora — staczającą się w morze miedzianą tarcz słońca i powstającą na nowo! — Wśród miasta wyspy połączonej mostem ze stałym lądem, stoją gruzy doryckie świątyni Artemis, kolumny jej najciaśniejszym ze znanych porządków stawione; na jednej przytarty napis: τῶ πέλονι, oznaczający dary niesione Apollinowi. Trzeciem miejscem w Sycylji o gruzach świątyń greckich jest Selinunt. Posiada ich siedem — wszystkie zniszczone do szczętu od trzęsienia ziemi czołem w proch odwieczny zaryły. Znowu z pomocą pary przebyłem Catanię i Messynę, której pędzel Claude Lorraina nazbyt pochlebił. O ile cudna i bogata część palermitańska, o tyle wstrętem przepełniła mnie Calabria — szaro-skalista, przepełniona lawą przyrosłą do ziemi i niweczącą roślinność, natura wszędzie logiczna podała ją mieszkańcom do budowania czarnych domostw, jak sadzą, okopconych, pełno wygasłych wulkanów, odrostków Etny, okolica jednostajnia, ludzie niechlujni i zerkający bokiem, rozboje i zabójstwa zbyt epidemiczne, często z nędzy, częściej z dyletanterji lubiącej dolce farniente i macaroni same lecące do gąbki; — po nad tém Etna, protoplasta wulkanów, którą mają za wygasłą a widok z niej na morze jeden z pierwszych na ziemi. Podobnie o Wezuwiuszu mówiono że wygasł — pali się on naprzeciw swej macierzy — podobnie o narodach mówią że wygasły — a jednak nie gasną one, jeźli je budzi nieszczęście — i tak zerwie się i wróci do życia lud francuzki pokarany za Polskę....

Od Messyny raz jeszcze trza było okrętem płynąć ku Palermo i ztamtąd dopiero do Civita Vechia. Kiedy mnie łódka odnosiła od Sycylji ku nowemu okrętowi — wspomniałem zajście małe a pełne znaczenia. Wioślarz miał w łodzi ogromnego żółwia, chwalił się nim, mówiąc, że jest na zabicie i że ma dobrą zdobycz, bo jest samicą i że powije wkrótce liczne potomstwo — żal mi się zrobiło biednego żółwia, kupiwszy nieboraka rzuciłem w wodę — z jaką radością hulknął ku głębiom rodzinnym....

Przed dwoma tygodniami w Wenecji idąc ku sali Ridotto, z mostu pełnego ludzi dojrzałem kota, który zawiśnięty u zamkniętego kratą i deską okna, znajdował się bez ratunku tuż nad stromą ścianą kanału — kazałem mu z mostu podać deskę ku kracie — kot przerażony, jednym susem skoczył w kanał i bohatersko dopłynął schodów pałacu — dobiegłem od drugiej strony, by mu kazać otworzyć, — i cóż powiesz! kot wchodzi do ślicznej sieni marmurowej, w środku której jest duża marmurowa studnia — cóż robi? — oto jednym skokiem skacze w studnię — gramoli się w rozpaczy i stróż z przerażeniem swojem wyciąga nieżywego — cóż zdziałał ten żółw szczęśliwy, co ten kot fatalny w obec przeznaczenia i sprawiedliwości jego? czy nie tak dzieje się w życiu?

Bądź zdrów mój Onorato, przeprosiłbym cię za długość listu, gdyby nie był jako pokuta dla ciebie przesłany, pisz do mnie, pracuj biernie dokąd czynnie nie możeż, ale się nie daj przemistrzyć swemu mistrzowi, i nie maluj aniołów bez skrzydełek! Rafael skrzydła im dawał. Są ci oni bez skrzydeł ale na ziemi, oto ludzie co w trudach i cierpieniach skwarem życia idą samotnie do końca, którym nikt nigdy nie podał bratniej ręki, a jednak miłość nie wygasła w ich łonach — tym daj piór — by ulecieli precz — — — a jednak, może za gorzko kończę, wszak rzekł mi Lenartowicz, że cierpienie ma kwiat swój, gdy dochodzi do szczytu! — miałożby mieć i owoc, który ludzkość zbiera?...

Adio! kochany mój, pisuj ale nie na Berdyczew, jam już u siebie, gdzie kwitną cicho wiśnie i jabłonie, znam wiosnę, co mi wdzięczniejsza od sycylijskiej, wiejąca falami kłosów, miota wieńce kwiatów i motyli — w dali błękitnieją Karpaty z szczytem Paraszki — a słowikowie nucą bez końca, że piękna ziemia wasza przeszłością swoją, ale nasza zaiste cudniejsza obecnością swego cierpienia i świętości — i do niej przyszłość należy!

Ernest B***

Nowe Książki.

Das Vermächtniss der Millionärin. Roman von Robert Waldmüller Duboc. Leipzig. E. J. Günther. T. I. — III. 1870.

Testament miljonowej pani. Romans Waldmüller-Duboc.

Przypadek dał nam tę powieść w rękę — rzuciwszy na nią okiem, znaleźliśmy w niej imiona polskie, typy nasze i zdjęła nas ciekawość jak też obcy nam autor pojął i przedstawił nieszczęśliwych parjów Europy. Polacy w literaturze, jako materjał i temat utworów poetycznych nie zbyt się często trafiają. Byliśmy jakiś czas ukochanemi, jesteśmy dziś jeśli nie znienawidzonemi natrętami, to przynajmniej lekceważonemi. Za czasów Platena i Maltitza uchodziliśmy za bohaterów, Heine drwił z nas niemiłosiernie. Gustaw Freitag skarykaturował schwyconą żywcem rzeczywistość naszą, a od 1863 r. jeśli kiedy kto dotknął Polski, to tylko, aby dowieść, że o niej nie miał wyobrażenia. Mijam co się o nas mówi pod pozorem polityki — ciekawsza daleko jak możemy wyglądać w niemieckiej powieści.

Autorem testamentu miljonowej pani, jest p. Waldmüller-Duboc, o którym tyle tylko wiemy, że o ulicę sąsiaduje z nami w Dreznie, że jest bardzo znanym w literaturze poetą, autorem licznych powieści, sztuk dramatycznych, opisów podróży i t. p. Samych zbiorów lirycznych wydał kilka, z których znaczniejsze: *Unter'm Schindeldache* (1852) *Dichters Nachtquartiere — Irrfarten — Lasci passare — Dorfidyllen* etc. Przyznajemy się do tego, że powieść cytowana jest pierwszą, którąśmy czytali tego autora. Zdaje się nam, że równie czytelnicy jak my ciekawi będą dowiedzieć się jak autor w niej wystawił Polaków, którzy tu główną grają rolę. A naprzód przyznajemy mu, iż chcąc mieć z niemi do czynienia, starał się cokolwiek wnikąć w ich życie, stosunki, uczucia i charakter narodowy, że studjował, o ile się to dało — Polskę, nim jej użył jako tematu do powieści. Studjum to nie zaprowadziło go tak daleko jak Cherbulieza w p. Bolskim, bo ten odgadł nawet odcienie ledwie przystępne oku, naszych narodowych wad i zalet, lecz przynajmniej nie można zarzucić p. Waldmüllerowi, żeby głównych rysów nie pochwycił z pewną prawdą. Nie szło mu też o cieniowanie drobnostkowe charakterów kilku, ale o żywą dramatyczną akcję, której jego gorąca i bogata fantazja przewodniczyła.

Panującą zaletą talentu autora jest jego żywa wyobraźnia i rzadka łatwość wynajdywania, nastręczania coraz dziwniejszych zawikłań i sytuacji. Postacie powieści są raczej oryginalne, wybitne, dosadne, mocno kolorowane, niż delikatnie wykończone, opowiadanie bieży, gna, pędzi przez najmniej spodziewane drogi do końca, na każdym zawrocie spotykając nową postać, nowy wypadek i nowy a barwami mocnemi nałożony obrazek. Romans przyciąga, dziwi, zajmuje, ale mimo to nie zaspokaja, bo nierównemi skoki, przesadza często znaczne przestrzenie, to znowu zatrzymuje się długo i pozostaje w miejscu, gdy się to najmniej usprawiedliwić daje. Autor jest fantastą niezaprzeczonego talentu, wyobraźni niewyczerpanej, ogromnej znajomości świata, ludów, żywota narodów i drobnostek, z których się ono składa. Zna Polskę, Anglję, Indje — Europę, jej stosunki, wszystkie sporty i uciechy wielkiego świata i wszystkie małego nędze. Myśl uczciwa, szlachetna, wyższa, bije z całego utworu, cel moralny, osiągnięty bez minoderji i nienaturalnej wstydliwości.

Żadnemuby Polakowi pewnie nie śniło się chcieć wystawić polską rodzinę w takiem otoczeniu jak autor tu stawi rodzinę hrabiów Bielskich. Rzecz dzieje się prawie cała — na londyńskim bruku. Lepszym może tytułem niż Testament Miljonerki, byłby — Polacy w Londynie. Treść jest następująca. Hrabia Bielski. bogaty pan galicyjski, żonaty, naprzód z Szlązaczką — na pół Niemką, z której ma cztery córki i dwóch synów; po śmierci jej, opłakując tę podporę życia, gospodarstwa i interesów,

(Dodatek.)

z nudy, z próżnowania, z widzimisię jakiegoś, postanawia się po raz wtóry ożenić. W domu dotąd było wszystko jak najlepiej, rządzca Niemiec Mosbach, doskonale gospodarował i interesa prowadził; córki porosły na śliczne panny, Teofila na dumną, poważną Polkę, Marynia na Niemeczkę spoufaloną, Jadwiga na ślicznego urwisza, amazonkę, Anielka, była jeszcze dzieckiem. Chłopcy Adam i Jana (ma być Jan lub Janusz) także ledwie dorastali.

Potrzebując kogoś zapewne, któryby nim kierował, hr. Bielski dumny, arystokratyczny charakter, wychowany w pańskich przesądach i nałogach — nie mający najmniejszej siły woli — postanawia się żenić — tłumacząc to sobie potrzebą matki dla dorosłych córek. A ponieważ polski pan bez faktora się nigdy obejść nie może, daje sobie swojemu totumfackiemu żydkowi nastręczyć żonę, dosyć niedecydowaną i bladą postać, panią Józefę, wdowę; osobę dobrą, ale tak prawie jak on słabą.

Pani Józefa ma po mężu nieboszczyku parę pięknych wsi, które właściwie do niej nie należą, ale do babki męża, pewnej pani starościnej, żyjącej w Londynie, z dochodu swoich dóbr Bukowińskich. A ponieważ trzeba raz te majętności p. Józefy na jej imie intabulować, państwo Bielscy wybierają się do Londynu. Zrazu mają jechać sami, potém przychodzi myśl wzięcia której z córek, nareszcie wszystkich dzieci. Tabor to tedy znaczny, karet kilka, najtyczanka, koń wschodni wierzchowy, konie dla panien, bo cała to rodzina Centuarów, konno jeździ z zapałem, z furją i umiejętnością wielką, aż do Adasia. Najzapalczywiej wszakże szalone dziewczę Jadwiga.

Oprócz tego jadą sługi, niańka Litewka Simonene, dwóch Hucułów, i nie wiem ilu jeszcze hajduków, gdyż hrabia ma zwyczaj gości kazać im wyrzucać ze wschodów czasami, do czego silnej pięści pogotowiu potrzebuje. Cała ta ogromna kalwakata rusza zaopatrzywszy się w weksle, ogromnym taborem i kosztem do Londynu, i staje w najdroższym hotelu Mivart'a.

Dzieje się to wszystko dla widzenia ze starościną miljonerką, która tu żyje odosobniona jak w klasztorze, przywiózłszy z sobą marszałka dworu Łaskiego, stróża do palenia w piecach i całą usługę polską. Jest bowiem patrjotką zapaloną, ale dla czego z tym patrjotyzmem siedzi w Londynie, tego sobie wytłumaczyć nie umiemy. Hr. Bielscy całe na niej pokładali nadzieje, ale stara dziwaczka widzieć się z niemi nie chce nawet. Majątek żonie wnuka sprzedać kazała i odebrać, a Bielskich nie cierpi za to, że on był żonaty z Niemką, że Marynia jest trochę zniemczała, i t. p. Słowem cała owa kosztowna podróż na nic się nie zdała. Przystęp do starościny niemożliwy. Tym czasem pieniędzy szafuje się mnóstwo nieopatrznie. Bielscy oglądając Londyn wpadają w towarzystwo najosobliwszych awanturników i figur *d'un monde impossible*. Pod pozorem jakiegoś wypadku na spacerze czepiają się do nich różni samozwańcy, czyhają filuci. Jawi się tu żyd polski Aaron, faktor starościny i spekulant, młody człek, stary filut syn bankiera, żydo-greka i mnóstwo innych. Bielski, który nie ma ani taktu, ani rachuby, ani porządku w głowie, ani znajomości ludzi, pani Józefa dosyć także mało znacząca i działająca, wypływają na fale tego różnobarwnego świata, miotani niemi na wsze strony. Około nich tworzy się zamęt i gmatwanina intryg, interesów, zabiegów, którym oni ani się oprzeć, ani zapanować nie umieją.

Wśród tych coraz nowych postaci, wysuwa się i piękniejsza Bolesława Osińskiego, syna emigranta, emigranta szlachetnego i niepodległego charakteru, ktory wchodzi do domu hrabiów, jako nauczyciel jego synów. Opowiedzieć wszystko przez co autor przeprowadza tę nieszczęśliwą rodzinę, aż do końca powieści i jej ostatecznego upadku — byłoby dosyć trudnem. Bielski brnie coraz dalej, Jadwiga, amazonka pasjonowana, zapala się razem do sztuk końskich w cyrku i do młodego ślicznego chłopca, który gra w nim rolę jeździca. Charakteru niepohamowanego, przywiązuje się doń i — ostatecznie ucieka do cyrku, aby wystąpić publicznie. Druga córka chcąc ojca ratować od ruiny ofiaruje się wyjść za mąż za syna bankiera, świeżo wychrzczonego greka-żyda... kocha się w niej z wielką dumą i szlachetnie zdala Bolesław Osiński. Teofili charakter jest pięknie i zręcznie bardzo nakreślony. Równie pociągający jest Bolesław Osiński, w którym znowu kocha się Zipora, żona żydka Aarona, postać fantastyczna całe wdzięczna. Wyborny także jest Amerykanin Creigs handlarz petroleum, typ spekulanta miljonera, nowego świata, i cała rodzina Cerigotto bankiera i angielski Lord Pottinger, szubrawiec osobliwego rodzaju.

Bielski okrążony tym tłumem traci głowę, daje się oszukiwać, ciągać, nadużywać i postradawszy to co miał, narobiwszy długów, nie mając o czém wrócić do domu z dnia na dzień, nie wiedząc co postanowić, sunie się do upadku już nie tylko majątkowego, ale moralnego. Brak woli i energji go gubi. Bielski gra na turfie, gra w karty, nie umie sobie rady dać z dziećmi, wszystko mu z rąk wypada. Jadwiga ucieka do cyrku, Teofila ma wychodzić za bankiera żyda, Marynia z niezgrabnym Mosbachem niezgrabnie romansuje na listy (z rządzcą dóbr) — awantury po awanturach pędzą i gniotą ostatecznie Bielskiego. Szubrawiec angielski namawia go za krupjera do domu gry, gdzie schwytany idzie do więzienia. Rodzina się rozbiega, rozprasza, żyd faktor kradnie Anielkę najmłodszą córeczkę. Bankierowi u ołtarza ślubu pop odmawia, kochanka się jego topi, i t. d. i t. d.

Jadwiga tymczasem występuje z ogromnym sukcessem w cyrku Prescott'a, a starościna, która przez ciekawość chciała być przytomną, przez patrjotyzm, widząc ją zwyciężającą atamana kozaków i rozwiniętą chorągiew tryumfalną polską, zapisuje jej swoje miljony. Miljony potem wszystko to jakoś łagodzą, uporządkowują, jednają i rozgrzeszają. Stary hr. Bielski idzie się rehabilitować służąc w Indjach wojskowo, Teofila wychodzi za Bolesława Osińskiego, Jadwiga za owego sztukmistrza, Marynia za Mosbacha rządzcę dóbr, który zostaje baronem austryjackim. Aaron faktoruje uczciwie, co było niepotrzebnego umiera, i powieść szczęśliwością powszechną się kończy, jak każda poczciwa powieść kończyć się powinna.

Co za bogactwo fantazji wyszafował autor, na ten utwór trzytomowy, a raczéj trzytomikowy, uwierzyć trudno, jak bujnym kolorytem odmalował ten świat londyński!! Znajomość życia tutejszego, i trafność rysunku wielka. W charakterach polskich arystokratycznych, odjąwszy im co mają obcego dla nas, raczej w sposobie przedstawienia niż w rysach samych — jest wiele prawdy. Bielskich się takich, Teofile a nawet Jadwigi spotyka, a nawet Marynie. Lecz Bielscy tylko już w Galicji się rodzą, bo w Poznańskiem wyglądają inaczej wcale, inaczej w Rosji. Bolesław Osiński jako syn emigranta wychowany zagranicą jest też dobrze pojęty. Kontrast jego wyobrażeń z przywiezionemi przez Bielskich z domu — rysuje się żywo. Gdyby autor mniej osób, mniej faktów, mniej obrazków epizodycznych nagromadził, psychologiczna strona powieści byłaby na tém zyskała; mogłaby się rozwiązać szerzej. Chybioną, jak nam się zdaje, jest bierna i starta postać Józefy, żony hr. Bielskiego; która chwilami zbyteczną się prawie zdaje.

Romans zaczyna się od chwili, gdy Jadwiga już w dniu pierwszych swych występów w cyrku szuka ojca i wpada do małego sklepiku handlarza ostryg, który z uwielbieniem przygląda się zjawisku, potém następuje opowiadanie, naostatek wraca sklepik i handlarz, i jego rodzina, gdy wszystko się skończyło i kortyna zapadła. Znać w pisarzu poetę a co więcej szlachetną duszę i przekonania poczciwe, które wylewa przez usta Bolesława Osińskiego. Jest wiele prawd gorzkich dla nas, ale jest pewien rodzaj sympatji i uznania zarazem. Książka osobliwa zaprawdę, i w sposób nie bywały pisana. Pełno w niej myśli, dwa kroć więcej obrazów, a blasku, a kolorytu, a żywości i ruchu najwięcej. Znajomość wszystkich stosunków i obyczajów europejskich rzadka; możnaby powiedzieć, że się aż do erudycji posuwa. Prawda w szczegółach i barwa miejscowa studjowana widocznie. *Mutatis mutandis*, przekład na język polski mógłby być zajmującym.

Dr. Omega.

Rozmaitości.

— **Rachunek z powierzonych mi składek na kanonizacją bł. Józefata**, przepisany z rachunku zostającego u mnie i zaopatrzonego w dowody z 7. Grudnia 1865 r. *

P r z y c h ó d.

1.	Od	JW. Heleny hr. Husarzewskiej skudów 500.	Złr.	1280	—	cent.
2.	„	W. Jana Fr. Kołosowskiego.	„	2	—	„
3.	„	W. Radwańskiego	„	—	50	„
4.	„	JW. Konstancji hr. Stadnickiej Rubli sr. 5.	„	7	20	„
5.	„	JW. Karoliny hr. Husarzewskiej	„	10	—	„
6.	„	JW. Pawłowej Popielowej	„	5	—	„
7.	„	JW. Jana Popiela	„	5	—	„
8.	„	W. Józefa Wojewody Talar pr. 1. . . .	„	1	32	„
9.	„	W. J. X. Gnoińskiego Tal. pr. 8 i złr. 1.	„	13	96	„
10.	„	W. Malwiny Twardowskiej Tal. 1 . . .	„	1	62	„
11.	„	W. Piusa Twardowskiego.	„	5	—	„
12.	„	W. M. Sawickiego	„	2	—	„
13.	„	W. Michała Koczyńskiego Tal. pr. I . .	„	1	62	„
14.	„	W. A. Rydzowskiego ze składki	„	5	—	„
15.	„	W. Ostaszewskiej Rubel sr. 1	„	1	44	„
16.	„	W. J. X. Fr. Jaworskiego	„	5	—	„
17.	„	W. J. X. Pobudkiewicza ze składki. . .	„	30	—	„
18.	„	W. Lucjanowej Siemieńskiej	„	5	—	„
19.	„	W. J. M. Sleczkowskiego ze składek . .	„	721	25	„
20.	„	Nieznajomych Rubli sr. 171	„	239	40	„
21.	„	Nieznajomego	„	6	04	„
22.	„	W. O. Michała Dąbrowskiego zwrot posłanego mu weklu na 450 skudów . . .	„	1080	55	„
		Summa przychodu	Złr.	3433	20	cent.

R o z c h ó d.

1.	W O. Michałowi Dąbrowskiemu, wekslem na Rzym, d. 27. Maja 1864 posłano Skudów 500	Złr.	1280	—	cent.
2.	W O. Michałowi Dąbrowskiemu na ręce p. Piramowicza, posłano d. 5. Maja 1865 r. fran. 200	„	90	—	„
3.	W. O. Michałowi Dąbrowskiemu, wekslem na Rzym, d. 14. Listopada 1865 r., skudów 450	„	1084	55	„
4.	Po odesłaniu powyższego wekslu d. 3. Grudnia 1865 r., zwrócono d. 5. Grudnia 1865 r.				
a)	W. J. X. M. Sleczkowskiemu	„	721	25	„
b)	Odesłano do konsystorza o. ł. w Przemyślu, na ręce W. J. X. Juljusza Paszyńskiego Rubli sr. 171 (in natura)	„	239	40	„
	i banknotami austryjackiemi.	„	18	—	„
	Summa rozchodu	Złr.	3433	20	cent.

Wiedeń, dnia 7. Grudnia 1865 r.

X. Roman Spihal.

JW. O. Michał Dąbrowski najniesłuszniej w sprawozdaniu swojem o kanonizacji bł. Józefata gniewa się, posądza i łaje o to, że reszta zostających u mnie pieniędzy na cel wspomnianej kanonizacji nie

---

* W. O. Dąbrowski odebrał w swoim czasie t. j. w Grudniu 1865 r. taki rachunek.

wpłynęła, a raczej nie wróciła do jego kassy, skoro on sam posłany mu przezemnie dnia 14. Listopada weksel na 450 skudów, pomimo, że wartość jego giełdowa, równająca się złr. w. a. 1084 55 cent., remanent kasowy złr. w. a. 978 65 cent. wynoszący o złr. w. a. 105 90 cent. przewyższała, odesłał, jako zły towar, w datowanym z dnia 22. Listopada liście, w którym nasypał sporo obroczku nie duchowego dla mnie i bankierów.

P. W. O. Michał Dąbrowski nie powinien był wekslu owego odsyłać, skoro czyniąc to i pisząc powołany list z dnia 22. Listopada już wiedział, jak mi o tem sam w tym liście donosi, że nasi dostojni biskupi galicyjscy już wydali byli od siebie listy pasterskie z wezwaniem wiernych do składania na cel kanonizacji bł. Józefata ofiar, że zatem, wedle jego własnego w sprawozdaniu wyrażonego orzeczenia, ustała postulatorów szczególnych i ogólnych władza, a z nią powinność i prawo ich znoszenia się z postulatorem generalnym — pomijając dostojnych księży biskupów.

Zacni kapłani djecezji przemyskiej ksiądz Juljusz Paszyński i ks. Marceli Sleczkowski, którym resztę zostających u mnie, ze składek w djecezji przemyskiej przeważnie pochodzących pieniędzy odesłałem, złożyli takowe do rąk dostojnego księdza biskupa przemyskiego; przeto, P. W. O. Michał Dąbrowski mógł i może być spokojnym, że te pieniądze nie przepadły, że je owszem do celu właściwego, to jest kanonizacji błogosławionego Józefata, z pewnością przekazano i użyto.

Skończyłem, i oto jest moje pierwsze i ostatnie przeciw P. W. O. Michałowi Dąbrowskiemu słowo

Ks. prałat R. Spithal protonotarjusz apostolski.

— **Zapowiedziany Rys biograficzny Józefa Hauke-Bosaka** według materjałów zebranych przez Zygmunta Kolumnę, napisany przez Wł. A. Sabowskiego, z portretem fotografowanym z natury i podobizną podpisu, wyszedł w ozdobnem wydaniu w Krakowie, nakładem wydawnictwa czytelni ludowej (Str. 103 w 8ce). Zajmująca ta biografia z wielkim zasobem wiadomości i aktów ułożona, oparta na źródłach autentycznych, stanowi ciekawy materjał do historji 1863—1864 roku i daje wizerunek tej pięknej postaci, która do najczystszych i największej zaszczytu Polsce przynoszących — należy. Słusznie powiedziano o Bosaku, że nawet słabości jego i omyłki znamionują duszę szlachetną, charakter prawy i niezachwiany. Część dochodu ze sprzedaży wydawca przeznaczył dla rodziny zmarłego.

— **W osobnem wydaniu** ozdobnem wyszła nakładem redakcji „Tygodnia" Winc. Pola — Boża Krynica. (Cena sgr. 10.)

— **Dla wszystkich, których zadanie bytu Austrji** i połączonych z nią narodowości obchodzi, zajmującą będzie broszura, chociaż w roku 1866 wydana w Paryżu, lecz i dziś jeszcze dająca się do położenia zastowac — Posłanie do Kroatów i Serbów przez Dra Imbro Ignatijewic'a Tkalac'a. (Pitanje Austrijsko-kome, kako i kada valja res'iti ga? Poslanica Braci Hrvatima i Srbima pisal je D. I. I. Tkalac. U Parizu, napecatano je Victor Goupy 1866 in 32 str. 94). Żałujemy, iż za późnośmy dostali, być dać obszerniejsze o tej z talentem napisanej a dla Słowian ważnej książeczce, małej rozmiarem, a pełnej znaczenia.



— **JMks. P. M.** Żałujemy bardzo, żeś P. D. nadsyłając nam sprawozdanie z kanonizacji błog. Józefata, nie napisał wyraźnie, iż ono pochodzi od Was i jest mimo wiedzy JMks. Dąbrowskiego nam udzielone. — Bylibyśmy ten ciekawy doment ze wzmianką właściwą razem drukowali, dziś tylko dać możemy sprostowanie wymagane, na żądanie Pańskie, słuszne zresztą, boby nowe prześladowanie spotkać mogło JMks. Dąbrowskiego.

Szkoła Rolnicza Imienia Haliny
w Ża.. kowie pod Poznaniem.

W pierwszych dniach Października r. b. rozpocznie się w Zakładzie nowy kurs. Ponieważ liczba uczniów wzrasta nadspodziewanie a na przyszłe półrocze zimowe już 16 zgłoszeń nadeszło, pomieszczenie zgłaszających się kandydatów będzie połączone z trudnościami. Zarząd Szkoły chciałby przygotować miejsce dla wszystkich życzących sobie wstąpić do Zakładu uczniów, będzie to jednak wtedy wykonalnem, gdy **zgłoszenia ile możności przyśpieszone** zostaną i ztąd jak najrychlej liczba potrzebnych miejsc się wykaże. Z tego powodu wzywa się już teraz życzących sobie pomieszczenia w Zakładzie od Października b. r., *aby najdalej do 1-go Sierpnia r. b. zgłosić się zechcieli* na piśmie do podpisanego dyrektora. Pobyt w Szkole rolniczej *przez całkowity* **kurs dwuletni** kosztuje 270 tal. z utrzymaniem i usługą.

Szczegółowy plan nauk półrocza przyszłego ogłosi się osobno. Bliższych informacji zaczerpnąć można z broszury pod tytułem: „Wiadomość o Szkole Rolniczej Imienia Haliny w Żabikowie ogłosił dyrektor tejże, Dr. Juljusz Au. Poznań 1870," która jest do nabycia we wszystkich księgarniach. Na zapytania wszelkich objaśnień chętnie udzieli podpisany:

Dr. Juljusz Au,
dyrektor Szkoły Rolniczej Imienia Haliny
w Żabikowie pod Poznaniem.

Ogłoszenie tymczasowe
na

ZBIÓR POWIEŚCI J. I. KRASZEWSKIEGO.

Pisarze, żyjący wśród narodów, umiejących cenić talent, pracę rzetelną i zasługę prawdziwą, mają prawo domagać się od społeczeństwa, aby jeszcze za ich życia zajęło się zbiorowém wydaniem ich utworów.

Francuzi, Anglicy i Niemcy zaczęli w rzeczy samej ogłaszać w ostatnich czasach zbiorowe edycje pisarzów współczesnych, a przyjęcie jakiego podobne wydania doczekały się u publiczności, przemawia najlepiej za stosownością tej myśli.

U nas dopiero po śmierci znakomitych pisarzy porządkowano i wydawano ich prace. O edycjach zupełnych, dokonywanych pod okiem autorów, nikt jeszcze nie pomyślał. Pragnąc w tym względzie dać dobry przykład i drugich zachęcić, rozpoczynamy w imę Boże z dniem 1. Października r. b. zupełną edycję powieści naszego powieściopisarza J. I. Kraszewskiego, która wyjdzie pod napisem:

Zbiór powieści J. I. Kraszewskiego.

Będzie to wydanie przejrzane, poprawione i uporządkowane przez autora.

Nie miejsce tu chwalić dzieła i zasługi . . . .
Dość powiedzieć, że całe pokolenie on nauczył czytać, że on uszlachetniał nasze serca, że on wreszcie był wiernym i sumiennym historykiem swojego kraju. Kraj chwytał też skwapliwie każde jego słowo — czego najlepszym dowodem to, że wszystkie jego dawniejsze powieści zostały już wyczerpane.

Powieści Kraszewskiego dzielimy na dwa okresy. Pierwszy sięga po r. 1862, drugi następuje po r. 1862. Po ukończeniu okresu pierwszego, przystąpimy do okresu drugiego. Wydanie będzie staranne, ozdobione portretem autora, na pięknym białym papierze, zupełnie jak Brockhausa „Biblioteką pisarzy polskich," a cena będzie tak niska, że odtąd powieści J. I. Kraszewskiego powinne znajdować się w każdym polskim domu. W Sierpniu r. b. rozpiszemy przedpłatę i podamy bliższe szczegóły. Tymczasem nadmieniamy, że w W. Ks. Poznańskiem jeden tom będzie kosztował od 10—12 sgr. Wrazie znacznego współudziału ze strony Publiczności, cenę zmniejszymy jeszcze o połowę. Nie o zysk nam idzie, ale o jak największe rozpowszechnienie dzieł tak potrzebnych dla naszego narodu. Do roku wyjdzie od 18—20 tomów, które dawniej kosztowały przeszło 30 talarów.

Z początkiem każdego ćwierćrocza rozsyłać będziemy tomy z góry, za kwartał. Dnia 1. Października wyjdzie pierwszych 5 tomów. Publikację rozpoczynamy od **Dwóch światów.**

Prosimy o łaskawe poparcie przez jak największe rozpowszechnienie niniejszego ogłoszenia.

Lwów, dnia 1. Czerwca 1871.

A. J. O. Rogosz, K. Piller, Gubrynowicz i Schmidt,
Wydawcy
Biblioteki powieści i romansów i Zbioru powieści J. I. Kraszewskiego.

Zabór Pruski
w czasie powstania Styczniowego
1863—1864 r.

przez

Dr. J. Łukaszewskiego.

Jassy. Nakład Autora. Drukiem J. I. Kraszewskiego. Tom in 8vo majori str. 357.

Cena 2 talary.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: Józef Ign. Kraszewski w Dreznie. — Nakładem i drukiem J. I. Kraszewskiego w Dreznie.